

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dnia 7 czerwca 1953 r.

Nr 23 (49)

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

OTWIERAJĄC NARADĘ*)

PIERWSZA Ogólnopolska Narada Kierowników Przychodzących Świećlic Wiejskich i Powiatowych Domów Kultury stanowiąc główny akcent tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy zamyka wstępny okres naszej działalności, okres realizacji uchwały Prezydium Rządu z dnia 1 marca 1952 roku. Zadanie postawione wówczas przed nami — otwarcie pierwszego tysiąca gminnych świetlic wzorcowych zostało w terminie do dnia 1 stycznia 1953 roku wykonane. Wykonane zostało również drugie zadanie — otwarcie 25 powiatowych Domów Kultury w pionierach narodowych jako ośrodków instrukcyjno-metodycznych w stosunku do świetlic wiejskich.

Okres od dnia 1 stycznia 1953 roku był okresem umacniania konkretnej pracy otwartych już świetlic, okresem analizy doświadczeń, błędów i osiągnięć, okresem przygotowania się do dalszego marszu naprzód — ilościowego i jakościowego rozwoju świetlic wiejskich i powiatowych Domów Kultury.

Na obecnej naradzie musimy więc odpowiedzieć sobie w pierwszym rzędzie na pytanie: jak wyglądała w konkretnym wykonaniu realizacja uchwały Prezydium Rządu i jaki jest realny bilans naszych osiągnięć i błędów? W jakim stopniu potrafiliśmy te błędy w ciągu dalszej naszej pracy przezwyciężyć? I wreszcie — na ile jesteśmy przygotowani do następnego jakościowego i ilościowego rozwoju.

Do praktycznej realizacji uchwały przystąpiliśmy rok temu, to jest dopiero w kwietniu — maju 1952 roku. Nie znaczy to jednak, że przed tym terminem świetlice w gminach nie było. Przeciwnie. Przychodziliśmy na teren częściowo już przeorany rewolucją kulturalną, na teren w którym działały świetlice Samopomocy Chłopskiej, setki zespołów, tysiące zahartowanych w walkach o nowe kulturalne i polityczne oblicze wsi polskiej aktywistów i działaczy społecznych. Zadaniem naszym było więc nie rozpoczynać pracy od podstaw, lecz w oparciu o już istniejące formy, osiągnięcia i działające aktywnie powołające świetlice gminne z pionierem Rad Narodowych, uczynić z nich ośrodki oddziaływania na świetlice gromadzkie, świetlice spółdzielni produkcyjnych, świetlice POM-owskie i PGR-owskie, umocnić je kierownictwem etatowym i bibliotekarzem, pomocą fachową ośrodków metodycznych domów powiatowych, realnym wyposażeniem i realną pomocą fachową, finansową i metodyczną zarządów świetlic i Domów Kultury Ministerstwa Kultury i Sztuki.

„Pierwszym naszym poważnym błędem — i z tego musimy zdać sobie dziś sprawę — w realizowaniu uchwały z dnia 1 marca 1952 roku było niedostateczne zrozumienie tej oczywistej prawdy, że działalność nasza jest kolejną fazą rewolucji kulturalnej na wsi, która rozpoczęła się w latach 1944—1945, a nie pracą od podstaw. W tych warunkach hałaśliwe otwieranie dawno już otwartych świetlic dawało niejednokrotnie w efekcie nie tylko osłabienie pracy, lecz odrętwienie dotychczasowy aktyw kulturalny od świetlic, osamotnienie świetlic, stawiano je kierownictwu w trudnej sytuacji odrabiania niefortunnego efektu „otwarcia” w codziennym wysiłku zdobywania ponownego zaufania mieszkańców gromady i gminy, aktywny kulturalny dążeń wsi.

Niedostateczne uświadomienie sobie zasady ustawienia naszej akcji jako organizacyjnej i metodycznej pomocy „Państwa dla aktywów społecznego wsi, jego pracy kulturalno-oświatowej” epychało ją w niejednym wypadku na biurokratyczne tory pogoni za ilością, za efektem formalnym, za statystycznymi danymi, co nie zawsze i nie wszędzie odzwierciedlało prawdziwe życie realnej świetlicy.

Nie zawsze również rzucano w teren kierownik świetlic otoczony został przez nas należytą opieką, instruktażem, fachową pomocą na czas i realizacją budżetu przyznawanego świetlicy na mocy uchwały Rządu. Przyjeżdżający w teren instruktorzy i inspektorzy Centrali jakże często ograniczali swoje funkcje do stwierdzenia takiego czy

innego stanu rzeczy, pokiwania głowami, pisania danych, czasem rzucenia tej lub innej obietnicy pomocy, która nigdy nie została zrealizowana lub tylko częściowo zrealizowana.

I nie zawsze również i nie od razu przydziały wojewódzkich, powiatowych i gminnych RN dojrzały w pracy KO zasadnicze swoje ogniwo w pracy nad wychowaniem nowego człowieka, nie zawsze potrafiły pośpieszyć świetlicom z pomocą, a tym samym poprzeć ją autorytetem Rady Narodowej. Często natomiast — długo jeszcze po uchwaleniu uchwały Prezydium Rządu — ignorowały znaczenie naszej pracy, zamykając już otwarte świetlice, zamieniając je z powrotem na składy, nie rozumiejąc ich doniosłości roli w wielkich akcjach politycznych kraju.

Nie zawsze również i aktywny społeczny Zw. Zaw. i Samopomocy Chłopskiej doceniał istotę Uchwały Rządu odwracając się od świetlic gminnych, jako już świetlic „nie-swoich”, traktując często konkurencyjnie wielki wysiłek państwa i poszczególnych Rad Narodowych oraz przysyłanych na wieś kierowników świetlic gminnych.

Czy uświadomienie sobie tych błędów w czymkolwiek osłabia wielkość dokonanego wysiłku ze strony Państwa? Wydaje mi się, że nie, że nie osłabia, lecz, przeciwnie, wzmacnia.

„Sądzę, że możemy o sobie powiedzieć, że barometr naszej pracy drgnął na pogodę. Za wcześnie mówić jeszcze o przełomie, o skoku jakościowym, lecz że drgnął na pogodę, na poprawę, to fakt.

Jeżeli bowiem w grudniu było w Kieleckim 6 świetlic wzorcowych, a obecnie jest ich 19 — to znaczy, maszerujemy naprzód. Jeżeli w Lubelskim było ich 8, a teraz 14 — to znaczy, że idziemy naprzód. Jeżeli w Rzeszowskim było ich 8, a dziś 30, to oznacza nowe, istotne zwycięstwo. Jeżeli od grudnia do maja liczba dobrze pracujących świetlic wzrosła z dotychczasowych 40 do 70, to barometr drgnął na pogodę. I to jest kierunkowa nasza ocena i naszych zadań.

Poprawa zaczęła się w okresie wyborów. I to nie jest sprawa przypadku. Wielka mobilizacja narodowa wokół Programu Frontu Narodowego, wokół zadań postawionych przez Partię, przez tow. Bolesława Bierutę, postawiła i świetlice wobec konkretnych zadań, wobec konkretnych zadań walki o nowe socjalistyczne oblicze Polski Ludowej — a nie tylko samym faktem swojego istnienia, lecz i treścią swojego życia — życia zespołów, bibliotek, młodzieży. Konieczność powiązania słowa mówionego z emocjonalnym przeżyciem obrazu artystycznego, sztuki, muzyki, tańca, wiersza, pieśni, ujawniła wielką potrzebę kulturalnego życia szerokich mas pracującego chłopstwa. Prawda ta stała się podcazas akcji wyborczej tak oczywista, że wszyscy przed nią musieli uchylić czoła — świetlice podczas wyborów stały się ośrodkami walki i nosicielami nowej kultury. Terenem starcia z wrogiem klasowym, z kłamstwem, plotką, wrogą propagandą, którą przewyżczała przy pomocy nauki, wiedzy, oświaty, kultury i sztuki, przy pomocy żywego, nowego aktywno młodzieżowego, przy pomocy nowej inteligencji wsi polskiej.

„Jednak głęboki zwrot na lepsze zaczął się właściwie dopiero w lutym, w marcu 1953 roku.

Dlaczego ten zwrot się dokonał? 1) dlatego, że zahartowała się główna kadra świetlicowa, pokochała swą pracę, ludzi i wytrwała na swoim posterunku. A jak raz wytrwała, to zaczęła z kolei zdobywać nowy teren. Gromadę po gromadzie.

2) dlatego, że Pierwszy Zjazd Spółdzielczości Produkcyjnej a zwłaszcza przemówienie tow. Bieruty otworzyło szerokie perspektywy dla socjalistycznego rozwoju wsi polskiej i pracy KO.

3) dlatego, że wasza praca stała się przedmiotem troski i znacznej części Rad Narodowych i Samopomocy Chłopskiej i że drgnęły i ruszyły naprzód niektóre Wydziały Kultury i Powiatowe Domy Kultury.

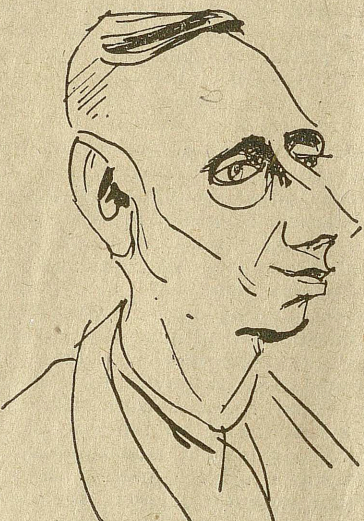
4) dlatego, że na zdobycie terenu wsi polskiej ruszył cały resort, udołkonali się metody pracy zarządów świetlic i Domów Kultury, a tym samym zaczął rosnąć nowy aktyw centralny i terenowy.

5) dlatego — i to jest najważniejsze — że zaczęła się normalna a twórcza współpraca z aktywnym

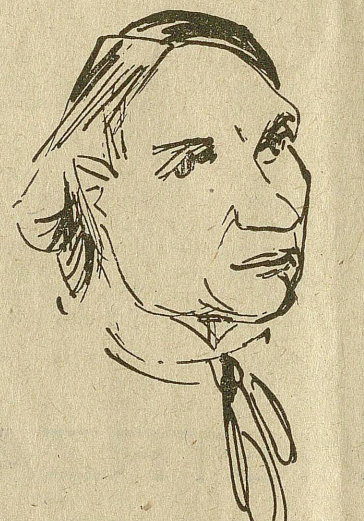
(Dokończenie na str. 7)



ROŻA KRÓLOWA
Woj. warszawskie, pow. Sokołów Podlaski, gromada Nowa Wieś



WINCENTY KRZYSZTOFIK
Woj. Wrocław, pow. Złotybrzeg, gm. Wysocko



EMILIA BEDZIŃSKA
Woj. Bydgoszcz, gromada Olszewska, poczta Nakło



LEON MACHOLA
Woj. Gdańsk, gm. Przywidz



BOGUMIŁA RYNGWELSKA
Woj. Bydgoszcz, pow. Chojnice, gromada Lubnia

RYŚ. K. LATALLO



na zjeździe Kierowników Produkcji Świećlic

Polityczny cel...

Przekonaliśmy się, że przez każdy zespół można osiągnąć pewien cel polityczny. Dla przykładu, kiedy miały się odbywać lekcje chóru zespół nucił sobie piosenkę „Nie chodź Maryśtu do lasa” szedł do świetlicy. Uderzyły mnie słowa, o tam jest mowa o gajowym i o kiju gajowym i przypomniała mi się powieść Wandy Wasilewskiej „Ziemia w jarzynie” i te urywki, kiedy jest mowa o gajowym, który uśmiercił chłopca. Ki dy zespół nucił piosenkę, przyniosłem tę powieść i wykorzystalem ten moment, żeby nawiązać rolę dawnych gajowych, którzy byli na upłukach dzieciaków i obzarników. Naturalnie, że już lekcji chóru w tym dniu nie było, ponieważ zespół bardzo zainteresował się tym urywkiem i w gruncie rzeczy całą powieść przeczytałem. W ten sposób czytelnictwo mocno się rozwija.

Istnieje u nas od 1949 r. spółdzielnia produkcyjna. Wśród indywidualnych chłopów było wielu opornych, wielu było wahających się średnio i matorolnie, a wśród nich był jeden matorolny szczególnie nieprzychylnie ustosunkowany do spółdzielczości produkcyjnej, który sam wahał się i wstrzymywał swoich trzech braci i sąsiada. Kiedy wystawiliśmy sztukę „Zaprzęgając konia” i wspólnie na zebraniu dyskutowaliśmy nad obsadzeniem tej sztuki, zespół zdecydował, żeby temu wahającemu się chłopu oddać rolę w sztuce gospodarza, który nie może podjąć decyzji. Sztukę wystawialiśmy kilkakrotnie, a ów wahający się chłop grając tę rolę zdecydował się i wstąpił do spółdzielni produkcyjnej pociągając za sobą trzech braci i wielu sąsiadów.

STANISŁAW JOŹWIENKO
woj. Zielona Góra, pow. Wschowa, gm. Siedlnica

Oklaskują spółdzielnię

Jestem członkiem spółdzielni produkcyjnej; moją wadą jest to, że zawsze mam język swą, aby o swojej spółdzielni powiedzieć, bo jak o niej nie mówię — to czuję się tak, jakbym nie wykonał swego zadania.

Świećlica nasza powstała w 1951 roku. Początkowo zdobyłem 16 osób z młodzieży, która oparła się różnym plotkom i podszeptom wroga i przyszła do świetlicy — gdzie razem ze mną zaczęła organizować życie kulturalne. Obecnie mamy żywoć trzy sekcje: sportową (96 osób), chóralską (26) i małą kapelę — chór występujący łącznie z kapelą z pieśniami ludowymi.

Sekcja sportowa wyjeżdża w teren i do innych województw, gdzie występuje również jako zespół świetlicowy. Zawiadamiamy o tym na plakatach, dojeżdżając do takich zakątków, gdzie najmniej było założeń spółdzielni produkcyjnych w tym roku — np. w Kieleckim, Opoczyńskim i Radomskim. Te zespoły robią wielką propagandę na rzecz spółdzielczości produkcyjnej.

Na ostatnim występie w Rawie Mazowieckiej na festiwalu powiatowym na 38 zespołów — spółdzielni produkcyjna wzięła pierwsze miejsce. Ucieszyło mnie to bardzo, kiedy obecni po zakończeniu naszego repertuaru (nie mówię — że po każdym występie) dali wielkie brawa i kiedyś bisowali — skandowali: spółdzielni! spółdzielni! To było dla mnie jako spółdzielcy wielką otuchą, że naród w Polsce przekonał się o słuszności tej drogi i oklaskuje SPÓŁDZIELNIĘ.

Jednak w tej pracy mam wielkie trudności, ponieważ z zawodu jestem piekarzem, nie mam żadnego przygotowania. Sam tworzę melodie, sam piszę nuty, sam prowadzę chór i orkiestrę. Dzwone to, że piekarz układa piosenki i pisze nuty. Miałbym więc prośbę pod adresem Ministerstwa Kultury i Sztuki, którą zgłaszam w imieniu całego naszego terenu — aby nam przysłał jakiegoś instruktora, który by potrafił chociażby przez miesiąc nauczyć naszą orkiestrę i chór nowych rzeczy.

MARIAN GUMOWSKI
woj. łódzkie, pow. Rawa Maz., gm. Nowa Wieś

Wieczornice świetlicowe

Kiedy był odczyt „Nędza chłopów w Polsce przedwojennej”, a obecne położenie w Polsce Ludowej — jaki miał oddźwięk? Wszyscy posłuchali i jakby groch o ścianę rzucił, zaczęli chylićmi ze świetlicy wychodzić, bo takie suche, papierowe słowa, rzucane bez serca nie znajdują oddźwięku. Szczególnie na wsi trzeba mówić z uczuciem, musi to płynąć z serca do serca, żeby chłop zrozumiał, o co chodzi. Jak my to zrobiliśmy? Zaczęliśmy naszą wieczornicę na ten właśnie temat: „Pieśńiem Marii Konopnickiej „A czemuż wylidne rosy padać...”, a potem deklamowano szereg wierszy. Następnie, jakby w przeciwstawieniu do tego cały zespół umaszewował z piosenką „Zdobyczym krokiem”. Można sobie wyobrazić, jak ludzie to rozumieją. Każdy wziął do serca i przypomniał sobie położenie, jakie miał przed wojną i oceniał, jak ma teraz w Polsce naszą Ludową. Wieczornice poświęconą skupowi zboża zrobiłam w ten sposób, że dla każdego poszczególnego chłopca,

który się wywiązał ze swego obowiązku, zespół wykonał czy duet, czy solo, czy akordeonista — bo i takiego mamy w świetlicy — coś zagrał. A dla chłopca, który się nie wywiązał i co do którego wiadomo było z gminnej rady narodowej, że może się wywiązać, zagrałmy skoczność marsza, aby się pośpieszył. Jaki był skutek? Idę na drugi dzień, przez wieś, patrząc, a chłop siedzi na furze natadowanej workami i mówi: „Jakoście mi zagrałi marsza, to jęde...”

MARIA LEWIŃSKA
woj. Bydgoszcz, pow. Brodnica, gm. Pokrzydowo, Spółd. Produkcyjna

Obrastać w aktywność

Mówimy ciągle o obrastaniu w aktywność kulturalno-oświatową. Ale nie powiedziane było, jak to wygląda w rzeczywistości. Czyśmy wychowali ten aktyw, czy wciągnęliśmy go do pracy?

Na podstawie mego długoletniego doświadczenia, nie uważam takiego kierownika świetlicy za dobrego, który skupia wszystko w swoim ręku niepodzielnie, nie dbając o to, żeby wprowadzić ludzi na kierownicze stanowiska, żeby przygotować zespół.

Trudno nam czekać na nowe kadry, bezowocne są nasze apele, abyśmy otrzymali „od góry” kadry wykształconych, wyrobionych ludzi na dyrygentów, na taneczników, na nauczycieli pięknego czytania. Świećlica jest tym warsztatem pracy, który musi ich wychować. Zmieniałem czterokrotnie miejsce jako kierownik świetlicy i zawsze z największą troską starałem się dowiedzieć, czy świetlice moje pracują. Tak, pracują. Najmilsza jest dla mnie świadomość, że świetlica, z której wyszedłem przed czterema laty, jest czynna, jest żywota i że spotykam się z nią na festiwalach, że mnie to popycha do szlachetnej rywalizacji ze swoimi byłymi uczniami.

Powszechny jest brak dyrygentów chórow. Tu i ówdzie zespoły świetlicowe chorale nie istnieją, bo nie ma dyrygenta. Ale muzykowie macie? Mam. Orkiestra jest, kapela jest? Grono ludzi znających nuty też jest. Dlaczego z tego grona ludzi, znających nuty, władających jakimś instrumentem, nie wyrósł dyrygent?

Dlatego mając kapelę wydziałem w swoim zespole śpiewającym paru wybitniejszych, którzy mają dobre opanowaną technikę gry na instrumencie i powiem: rzuć im stopniowo nauczanie partii głosowych. Dyryguję ja, a następnie mówię: „Wy kolego teraz poprowadzicie”. Rezultat jest taki, że mogą mnie podrobić służbowo oderwać od warsztatu pracy (bo jestem społecznym kierownikiem świetlicy) na okres trzech, czy czterech tygodni, a próby idą, wszystko odbywa się tak, jak przy mojej obecności.

Unikamy w ten sposób jednocześnie krytycznego momentu w naszej pracy świetlicowej, mianowicie zmiany człowieka. Ten moment jest zwykle groźny. Kiedy przychodzi inny człowiek — dopóki nie chwyci za serce, dopóki nie przekona o swoich walorach, musimy walczyć z wrogiem nastawieniem. Kiedy przygotowuję sobie kadry, kiedy zastępuję mnie stopniowo inny, unikam tego krytycznego momentu. A przecież musimy wznosić się na coraz wyższy poziom, nie zamykając ciągle od nowa.

STANISŁAW WIŚNIEWSKI
woj. Białystok, pow. Bielsk Podlaski, gm. Białowieża

Rodzimy nowe życie

My w naszej świetlicy, kiedy nam przysłała z pomocą Gmina Ruda, Naradawa i Kuria — założyliśmy zespół 12-osobowy. Zmontowaliśmy montaż słowno-muzyczny, złożony z pieśni, tańca i recytacji. Od września do dnia dzisiejszego stworzyliśmy trzy montaż słowno-muzyczne, z którymi objechaliśmy cały powiat. W akcji wyborczej opracowaliśmy sylwetki kandydatów na posłów. W akcji siewnej wyjeżdżaliśmy trzy razy i nie jest przypadkiem, że nasza gmina pierwsza w powiecie ukończyła siewy, a powiat pierwszy w województwie.

Jako przykład chciałem podać, jak nasza brygada włączyła się do pracy w gromadzie Gumkowie. Kiedy kilka miesięcy temu zjechaliśmy po raz pierwszy, sala była dostojnie pusta. Później w czasie przedstawienia zaczęła napływać większa ilość kobiet z dziećmi i młodzieżą, pod koniec naszego występu sala była pełna. Przerwaliśmy występ i daliśmy odczyt o spółdzielczości produkcyjnej. Po trwającym znowu przyjęliśmy. Wtedy sala była nabita. Daliśmy znowu montaż słowno-muzyczny i omówiliśmy zagadnienie spółdzielni produkcyjnej. Byliśmy tam jeszcze kilkakrotnie, znowu sala była pełna, przychodziło dużo kobiet, które normalnie trudno było ściągnąć na zebrania i odczyty.

I oto teraz dnia 25 maja zgłosił się do nas soltys, ażeby zaprosił nas na otwarcie spółdzielni produkcyjnej w Gumkowie. Nie chcę przez to powiedzieć, że to właśnie nasza świetlica powodem powstania nowych spółdzielni produkcyjnych, ale stwierdzam z całą stanowczością, że przyczynia się ona w znaczącej mierze do przyspieszenia ich zakładania.

TADEUSZ SUCHOROWSKI
woj. Wrocław, pow. Milicz, gm. Sulów

*) Przemówienie min. Wł. Sokorskiego (w obszernych fragmentach) wygłoszone na otwarciu Narady Kierowników Produkcji Świećlic Wiejskich i Powiatowych Domów Kultury w dn. 27 maja br.



Tadeusz Orlewicz

Za kręgiem polarnym

NIEWIELE tylko dni w roku świeci tam słońce. Resztę czasu trwa noc, przesiąknięta różnorodnymi plomieniami zorzy polarnej. Termometr wskazuje najniższą temperaturę na ziemi. Tajga ustępuje miejsca tundrze kartowatych mchów, by zaniknąć w ogromnych polaciach śniegowych złożach. Ziemia skruwa wieczna zmarzlizna. Golfstrom tylko w części łagodzi lodowate tchnienie bieguna.

Ziemię leżącą za kręgiem polarnym nazywano grobem przyrody. Setki i tysiące kilometrów dzieliły człowieka od człowieka. Nełcy, Saamowie, Czukezi, ludy zamieszkujące te tereny były ludami koczowniczymi. Mieszkańcy w pospiesznie kłęczących lepiakach, żyli się surową rybą, odziewali się skórą zwierząt. „Skazani są na pierwotne bytowanie — stwierdzała nauka burżuazyjna — bo wszystkie swe siły muszą oddawać w walce o byt z mrozem północy. W walce tej wymierają i nie ma siły, by odwrócić ich los w tej krainie, gdzie człowiek, roślina i zwierzę nie żyje lecz wegetuje”.

A człowiek tymczasem choć wegetował, ale i raz po raz zrywał się do walki z kapryśną przyrodą. Stąd 300 lat temu myśliwi i rybacy na jednozgodnych kutrach przedostali się na Spiczberg. Stąd przychodzili wielki Łomonosow, Sibirakow, rosyjski badacz Arktyki, uparcie do wodził możliwości życia osiadłego nad morzem. Łodowatym. Sidorow projektował plany rozbudowy przemysłu rybnego wśród tundry nad morzem Karskim. Lecz z Petersburgu rządził wtedy carowie i na wszystkie projekty znali jedną tylko odpowiedź: „nie!”

Historia wkroczyła tutaj z nadejściem Rewolucji. Arktyka radziecka przekreśliła skostnienie wieloków, zwyciężyła białą śmierć, dając uspaniałą rozwój nowemu życiu. Jak wszędzie w Kraju Rad, tak i tu, mimo szczególnych trudności, człowiek podbił przyrodę, bowiem, jak mówił Kirow, „nie ma takiej ziemi, która w umiejętnych rękach, przy władzy radzieckiej, nie mogłaby służyć dobru ludzkości”.

Przecież nie było dotąd nic bardziej nienaruszonego jak nakreślona tablica Haberlanda granice stałych upraw. „Owies, aby dojrzeć — powiada ta tablica — potrzebuje w sumie 1940 stopni ciepła, jęczmień — 1600, groch 2100, okopowe 2500”. A tymczasem na dalekich Chibinach, na półwyspie kolskim, za kręgiem polarnym suma temperatur równała się zaledwie 1135 stopniom dla całego okresu wegetacyjnego. A w ziemi Jakutów, w pobliżu absolutnego bieguna zima, była jeszcze niższa. Mimo to, wspierane nauką Miczurina i Łysenki, narodziło się tam rolnictwo polarne. Już w latach trzydziestych pierwsze ogniska rolnicze powstają wzdłuż kolosalnego frontu północy.

Na półwyspie Kola zbioru ziemniaków przekraczała największe przewidzienia. Wyhodowano zupełnie nowe odmiany. Jedną z nich nazywa się w języku Saamów „Umpiek” co znaczy: „podwójnie niedostępna tundra”. Jęczmień i owies dojrzewa tu o dwa miesiące wcześniej niż pod Leningradem. Bogatym kłosem szumi pszenica, owies i jęczmień w kołchozach Kamczatki. W rejonie minusińskim wcale nie znano dawniej drzew owocowych, teraz są sady w każdym kołchozie. Na polach Altaju jabłonie nie boją się nawet czterdziestostopniowych mrozów: ścieła się po ziemi pokryte gęstym wuchem śnieżnym i czekają spokojnie na pierwsze promienie słońca, by rozwijać kwiaty i owocować. W Karelii rosła czeremcha odporna na mrozy. W Nariń-Mar, nieomal na brzegu morza Łodowatego, płon ziemniaków przekracza 500 kwadratów z hektara, kasusty blisko 500.

W altajskim kołchozie imienia Mołotowa rosło sto rodzajów jabłoni, dziesiątki gatunków wini, malin, poziomki. Peczorskie i jakuckie krowy dają do 5000 litrów mleka rocznie. Szara tundra pokrywa się rozmarzaniem upraw polarnych. Rosną zielone łąki, otaczając coraz bardziej zwartym zapleczem kłosy przemysłu polarnego i nowe miasta.

Nad brzegami jeziora Wudjaur, gdzie jeszcze w latach trzydziestych tylko koczowniczy Saam przesiągał ze swoim zaprzęgiem reniferów, powstaje wielki kombinat chemiczny, a z nim wielkie miasto. Dymią kominów jednego z największych na świecie zakładów przemysłu fosforowego. Dobywają tu miedź i nikiel. Nad Peczorą rośnie Donbas północy. Salecharda była przed ćwierć wiekiem małą kłęczącą się osadą. Dziś jest to miasto setek domów, wielu szkół kombinatu, zakładów przeróbki drewna, miasto nowego portu rzeczno-morskiego. Rosną na dalekim Tajmyrze miasta i przemysłowe osiedla. Jeszcze na mapie z roku 1949 nie ma osady Jamterete, nie ma kołchozu „Czerwona droga” lub „Nowa siła”, którego dochód w roku 1951 przekroczył 1,5 miliona rubli. Nie ma na mapie innych kołchozów — milionerów. Powstały one w ciągu paru zaledwie ostatnich lat. Przebrazenie Arktyki radzieckiej trwa.

Powstało wielkie rybołówstwo polarne. To nie są już jednozgodne kutry, ale wielkie motorowce, kierowane dyspozycją radarową, korzystające ze wszystkich wskazań nauki. Dawniej na morzu Karskim, na morzu olbrzymiej masy pływających pól lodowych, żegluga trwała zaledwie 35 dni w roku, dziś przeszło 100 dni. Torują drogę olbrzymi — taneczne jak „Krasin”, który uratował wyprawę Nobiego do bieguna, jak „Józef Stalin” o wyporności 10 tysięcy ton. Na Nowej Ziemi pracują cztery stacje radzieckie stacje naukowe. Mieszkańcy tam teraz na state rybacy i łowcy zwierząt polarnych. Na 81 stopniu szerokości północnej pracuje na wyspie Rudolfa inna naukowa stacja radziecka.

Coraz dalej na północ idzie człowiek — zdobywca przyrody i samego siebie. Gdzieś tam daleko na północy pozostała owa haberlandowska czerwona linia, która tak długo broniła ludziom dostępu do skarbu przyrody. W niepamięć odchodzą pustkowia, których nie przecinał żaden tor kolejowy, które w swej szarej martwotwie nie znały rytmu maszyn pracujących dla człowieka. Tu też szerególną mocą sprawdają się wielkie słowa: „Przekształcenie przez człowieka społeczeństwa i przyrody — to najgłębsza filozoficzna poezja naszej ery socjalistycznej”.

Powstała gęsta sieć szkół. Każdy ma już za sobą początkowe nauczanie, a dziś wszystkie dzieci Nełców, Czukezów, Komi uczą się w siedmioletnich szkołach. Przed ćwierćwieczem pierwszą książką w rodzinnym języku znalazła się w ich rękę — niebawem ukazały się statystyczne nakłady podręczników. Wolni ludzie, zwycięzcy przyrody, przebyli w ciągu niespełna pokolenia drogę wielu wieków od barbarzyństwa do socjalizmu, od wspólnoty pierwotnej do nowoczesnych narodów, od chatki śniegowej do oświetlanych elektrycznością bloków mieszkalnych, od kompletnej ciemnoty kulturalnej do jasnego gościnia nowej, własnej, narodowej kultury.

Zaludniły się wielkie obszary dalekiej północy radzieckiej. Front walki posuwa się coraz dalej i coraz szerzej, front walki o powszechny dobrobyt, o wysoką kulturę. A równocześnie za innym wynikiem kręgu polarnego, tam gdzie nadal władzę dzierży kapitalizm, pustynia lodowa nadal króluje. W krainie Jacka Londona, na Alasce, nie ma więcej mieszkańców na terenie półtora miliona kilometrów kwadratowych niż w Kirousku, „Gorączka złota” przeszła nad tą krainą jak huragan i wróciła znowu dni odwiecznej martwoty, w której tkwi ziemia i ludzie. Tylko bazy wojenne przypominają tępoim bez ilości tubylcom, że są w bezpośrednim zasięgu „kultury” imperializmu. Dwa światy — dwa style życia.

Tadeusz Orlewicz

ALINA WITKOWSKA

„NASZE LATO”

Numer „Literatury Radzieckiej” zapoznał nas z debiutem powieściowym Heleny Uspieńskiej pt. „Nasze lato”. Uspieńska wodu biologiem, literatura stanowiła do tej pory sferę jej nieco amatorskich zainteresowań, pogłębiających być może przez literacką tradycję rodziny, którą uświetniło nazwisko wybitnego dziewiętnastowiecznego pisarza — demokracja Gleba Uspieńskiego. Powieść należy do udanych debiutów, wyróżnia się dojrzałością artystyczną, żarliwością i odwagą problematyki ideowej. W Związku Radzieckim była jedną z tych książek, które wywołały dyskusje, spory, listy, ferment w umysłach czytelników. I na naszym gruncie powieść Uspieńskiej spotkała się z dużym zainteresowaniem, z życzliwym przyjęciem, chociaż w prywatnych, nie publikowanych dyskusjach może zbyt często figuruje z etykietą książki do studentów. W określeniu tym oczywiście jest cień prawdy, istotnie bohaterem „Naszego lata” jest grupa studentów II roku biologii Uniwersytetu Moskiewskiego, ale sens ideowy powieści, postać czolowego bohatera utworu, prof. Lopatina, wykracza daleko poza ramy studenckiego życia, porusza centralne problemy walki ideowej w biologii. Powieść Uspieńskiej bliższa jest klimatowi takich utworów jak „Obcy cień” Simonowa czy „Sąd honorowy”, wprowadzających zagadnienie walki postaw ideowych w nauce, godności i uczciwości uczoności, nie powiedzmy „Studentom” Trifonowa. Mówiąc o „Naszym lecie” jako o powieści z życia studentów nieślednie przesuwając się proporcje ideowe i tematyczne utworu, przesadnie eksponując te strony powieści, które nie należą do najlepszych i najmocniejszych. Rozpatrywany w tych kategoriach utwór razi niekiedy szkieletową postacią studentów, brakiem szerszego kontekstu ich życia i myśli, mało rozbudowanym portretem psychologicznym, zagubieniem specyfiki obywatelskiej. Chociaż i tutaj pisarza zdradza czuły nerw bystrogo obserwatora, umie w postaci Nikity i Warii stworzyć żywy, indywidualizowany, odmienne, niezwykle ujmujące sylwetki studentów mających wszelkie dane na to, aby stać się jednymi z najbardziej udanych bohaterów pozytywnej radzieckiej literatury młodzieżowej. Trzeba dodać, że „Nasze lato” w zakresie tzw. problematyki młodzieżowej — mimo iż nie tu leży główny walor utworu — podejmuje kilka niezmierzonych problemów, które podnoszą wychowawczy, aktualny sens utworu, w pewnej mierze decydują o popularności powieści Uspieńskiej wśród młodzieży. Najciekawszy z nich związany jest z postacią Alły Irtyzowej. Rzyknąć pewne uproszczenia konfliktu można by go określić jako problem tzw. kapitalistycznych obciążeń światłości, spotykany w pewnych kręgach młodzieży radzieckiej. Zjawiska tego pokroju znajdowały już odbicie w literaturze, ukazywane były w powieści Trifonowa „Student”, wreszcie w radzieckiej prasie młodzieżowej Bohaterka „Studentów” Lena i Alła Irtyzowa to reprezentantki tego pokolenia mło-

dzieży, któremu życie pokazało swoje radosne, pogodne oblicze. Ojcowie ginęli w więzieniach caratu, bili się w dniach Października, krwawili na polach wojny domowej, budowali republikę radziecką. Dzieci zastały już nowe życie, wolne od trosk tamtych trudnych dni, radosne, przychylne w stosunku do człowieka. Ten niesłychanie łatwy start życiowy młodzieży spowodował demoralizację pewnych jej kręgów, rozbudził skłonność do wygodnictwa życiowego, do unikania konfliktów, co w konsekwencji przyczyniło się do rozwoju pewnych drobnoświeckich ideałów życiowych. Sedno zagadnienia jak zawsze tkwi w ideologii, w powierzchownym stosunku do życia, w braku komunistycznej bojowości i hartu. W to niebezpieczne zjawisko uderza celnie powieść Uspieńskiej poprzez konstrukcję ideową postaci Alły, poprzez wnikliwie postawienie problemu wychowania w rodzinie.

Z ogromnego, rewolucyjnego przewrotu jaki dokonał się w życiu zwykłego człowieka radzieckiego matka Alły zrozumiała tyle, ile ogarnia ciasny horyzont drobnoświeckich ideałów. Alła dystansując matkę pod względem wykształcenia, ideologicznie pozostała w jej ciasnym, wygodnym kręgu zainteresowań nowymi kanapami i strojami, w kręgu ograniczonych ideałów życiowych kulturalnego sybarytu. Jeden rys w portrecie Alły razi jednak, uderza fałszem w służnej i artystycznie trafnej koncepcji postaci — zupełnie bierna akceptacja postawy Alły przez otaczających ją ludzi, przez kolektyw studentki, profesorów, przez ojca komunistę. Wstyd doprawdy, aby tak poważny chłopak jak Nikita, wzorzący się bez pamięci na zachodzie w Irtyzowej, jutro spokojnie od niej odszedł zostawiając dziewczynę z całym, znanym mu, bagażem jej braków ideowych. Wolno mu przestać kochać, ale nie można mieć spokojnie składowego społeczeństwa. Profesor Lopatin marszczy brwi na widok wysoch obcasów Alły, ale jako wychowawca młodzieży nie próbuje przeciwdziałać nawet wyraźnemu bumełanctwu dziewczyny. „Ojciec, wybitny konstruktor radziecki, komunist, eksponował fakt, machnął ręką i swoje zainteresowania przeniósł na teren fabryki. Milczy także organizacja komsomolska. W rezultacie książka może nasuwać myślnie sugestie jakoby społeczeństwu radzieckiemu właściwa była bierna, kontemplacyjna postawa wobec przeżytków światopoglądowych w ideologii ludzi radzieckich.

W klimat gorącej walki ideowej wprowadza nas natomiast główny punkt powieści skoncentrowany wokół „sporu o Łysenkę”. Nie wiele dałoby się przytoczyć przykładów utworów literackich, które umiały w tej mierze co Uspieńska fachowe problemy dyskusji naukowej przekazać w postaci konfliktów powieściowych poprzez losy, myśli i przeżycia bohaterów. Pisarka odkryła za sformułowaniami naukowymi konkretnych ludzi i postawy ideologiczne, nie gubiąc nic z naukowej wartości opisywanych problemów. Powieść Uspieńskiej pokazuje wycinek końcowego już etapu wal-

ki między morganistami a zwolennikami teorii Łysenki. Autorka słusznie odsłania polityczne i filozoficzne zaplecze sporu, pokazuje, że był on w istocie bitwą o charakter i funkcję nauki w społeczeństwie budującym komunizm. Zwolennicy Łysenki występowali w tym sporze nie tylko jako demaskatorzy niesłusznych tez naukowych, ale przede wszystkim jako przedstawiciele nauki twórczej, rewolucyjnej, nauki służącej człowiekowi, dającej mu potężną broń w walce o jak najszybsze zbudowanie komunizmu.

Spór o Łysenkę był więc sporem ideologicznym i politycznym. Wzięli w nim udział profesorowie i katedry uniwersyteckie, studenci, agronomowie i kołchoźnicy, cały naród radziecki. Praktyka codziennego życia kołchoźników, którzy walcząc o wyższe plony stosowali łysenkowski metody hodowli roślin, rozstrzygnęła spór na korzyść wielkiego uczonego — nowatora na długo przed pamiętną sesją Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych im. Lenina.

„Nasze lato”, umiejętnie pokazując ten układ sił w wielkim sporze, ale nie ułatwia sztucznie zwycięstwa, pokazuje opór przeciwnika, który potrafił okopać się mocno na wydziałach biologii wyższych uczelni. Na Uniwersytecie Moskiewskim Łysenko długo figurował w spisie nazwisk zakazanych. Ze zwolennikami wielkiego uczonego — praktyka rozprawiano się szybko metodami, które, jak widać, były charakterystyczne nie tylko dla uczniów Marra. Studentów wychowywano w absolutnej nieznajomości teorii Łysenki. Zwolennicy Morgana przetrzymali się w ten sposób w zdecydowanych wrogów rozwoju nauki radzieckiej, zamienili jeden z czolowych wydziałów produkującej uczelni w siedlisko reakcji nauko-

wej. Jest w powieści Uspieńskiej scena, która te procesy ujmuje w lapidarnym, artystycznym skrócie. O to jedna z bohatererek „Naszego lata”, Luba, tonem z lekką protekcyjnym zaprasza kołchoz na szereg odczytów organizowanych przez studentów: „Słuchajcie, możecie zaprosić komsomolców z innych kołchozów? Z „Rasswietu” można zaprosić — powiedziała Alła — Sprawę kok-saghyzu postanowiono tam bardzo dobrze. Luba odwróciła się gwałtownie: Jak to postanowiono? — Kołchoz ciągnie z kok-saghyzu duże dochody. Sądzenie metodą Łysenki zapewni bardzo wysoki urodzaj. — Łysenki? Nie uczyliśmy się jeszcze o Łysenke. — Alła spojrziała złośliwie na Lubę. Wiedziała, że odpowiedź ta spowoduje u Allosy wybuch oburzenia. Ale wbrew jej oczekiwaniom Allosa popatrzyła na Lubę protekcyjnie jak starszy, i nawet z pewnym współczuciem. To jasne — powiedział — myślimy się na uniwersytecie też nie uczyli tego. Uczyliśmy się za to o kołchozie i słuchamy rad Trofima Deni-sowicza. I mamy z tego dochód. Nie jednego nas na uniwersytecie nie ucza. Musimy się uczyć sami.”

Podziwu godna jest umiejętność, z jaką pisarka pokazała perspektywę rozwoju radzieckiej biologii, jej hu-



manistyczny sens i wielkie ambicje zadania, poprzez pracę i myśli swego czolowego bohatera, profesora Lopatina.

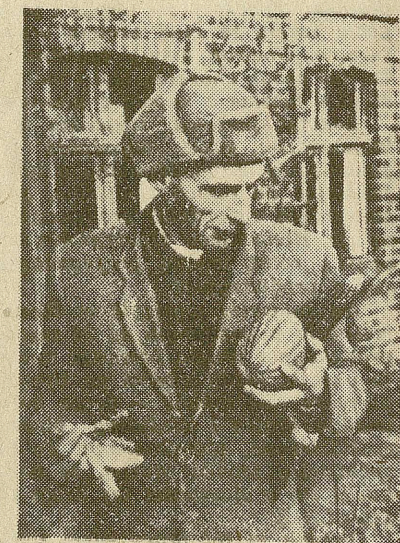
Jest to jedna z najbardziej udanych postaci w książce. Ten uczonec, który ma wdzięcznych przyjaciół w dziesiątkach kołchozów, uczy się od ludu, od jego codziennego doświadczenia i przekazuje mu znów swoje osiągnięcia naukowe, dotrzymując kroku szybkiemu marzowi narodu radzieckiego do komunizmu. Jego pojmowanie funkcji uczonego w społeczeństwie dalekie jest od wygodnictwa i oportunizmu. I jako uczonec i jako komunistę wystąpił przeciwko własnemu przyjacielowi, gdy ten pośrednio będzie popierał niesłuszne poglądy i błędą na praktykę naukową. Prof. Lopatin jest przedstawicielem prawdziwej radzieckiej, partyjnej nauki, podobnie jak w postaci Szumskiego Uspieńska zawarła wszystkie te odpychające cechy, które są konsekwencją niesłusznych założeń ideowych i politycznych w nauce.

Szczególnie duży sukces odniosła pisarka w literackim odwrocie: zjawisk i procesów przyrody, odgrywającej przecież ogromną rolę w książce o biologach. Wiadomo, jak trudno jest pisać o przyrodzie. Wiele mistrzów pejzażu literackiego typu Turgieniewa zostawił klasyczne wzory opisów przyrody łączące rzetelną znajomość natury z poetyckim spojrzeniem na jej zjawiska. Specyfika powieści Uspieńskiej nie pozwalała jej pójść śladami wybitnych pejzażystów. Autorka musiała zrezygnować z opisu artystycznego na rzecz popularno — naukowego objaśniania zjawisk przyrody. Wybrała zatem drogę subtelnej i niezwykle zindywidualizowanego opowiadania o zjawiskach przyrody, podanego często w kształcie monologu wewnętrznego bohaterów. Umiar artystyczny pisarki pozwolił jej i w tym wypadku zachować słuszną granicę między relacją naukową a stylizacją i beletryzacją przedmiotów. Dała pełnowartościową, humanistycznie opowieść o bogatym świecie przyrody. Tak właśnie radziecki uczonec i artysta odczytuje niepojętą niegdyś księgę przyrody.

Alina Witkowska

PIOTR GUZY

U MISTRZA URODZAJU



Do Edmunda Ratajczaka pojechałem w niedzielę w dniu Święta Ludowego. Po dwóch godzinach jazdy wysiadłem na małej stacji Rabczyn w pow. wargowickim. Znałem ten widok: przy torze mały budynek poczekalni, otoczony strzelistymi topolami, a dokoła, jak okiem sięgnąć, pola. Od wschodniej strony horyzont zamykał długi rząd drzew. Tam właśnie żył Rabczyn.

Stara kobieta pokazała mi drogę. — A Ratajczaka znacie? — A znam, pewnie że znam. Kto by w Rabczynie Ratajczaka nie znał. W gazetach o nim pisał. Jak powstał kołchoz, to o nas też ktoś napisał. Na spółdzielczym zawsze ktoś. Córka wyszła za mąż za spółdzielcę, to wiem. A Ratajczak to wysiłowiec w burakach i robotnik jak mało kto.

Rabczyn jest bardzo rozległą wsią. Jednym skrajem opiera się o rzekę Welnę, drugim podchodzi prawie pod sam Wargowicę. Gospodarstw w nim 127, przeważnie małe i średnie. Ale czterech gospodarzy posiada po 28 ha. W Rabczynie

nie już istnieje spółdzielnia produkcyjna. Mianowicie w Nowej Wsi (rozparcelowany folwark), leżącej w stronę Wargowic. Założona została w zeszłym roku. Na starą wsi koło jej założenia zabiegają właśnie Ratajczak i Grzesiek, kierownik tutejszej szkoły.

Niektórzy ludzie — rozgadała się kobieta — nie mogą się nadziwić, że Ratajczak taki skory do spółdzielni. Dobrze przecież gospodarzy na swoim, chyba to najlepszy gospodarz we wsi. Na początku maja był mroz, niech pan popatrz, jak żyto się pali. I co teraz będzie? Jeśli jeszcze deszcz popada, no, to pół biedy. W spółdzielni byłoby inaczej. My na indywidualnym, to przeważnie sadzimy tylko pyrkę i żyto, w spółdzielni byłoby miejsce na buraki, len, rośliny przemysłowe, co zawsze gwarantuje wysoki dochód.

Ma lat 40, ale nie wygląda na tyle. Ciężkie wojenne przeżycia, niewola, a potem praca u „bambara” nie odebrały mu jednak blasku młodzieńczości, którym tryskały jego trochę zielonkawe oczy, osadzone szeroko pod wysokim czołem. Kiedy w 1945 roku Ratajczak powrócił z niewoli do Polski, zastał w swoim gospodarstwie (7-hektarowym) same gołe ściany. Co było dalej, zostać w Rabczynie, czy iść dalej, na Ziemię Odzyskaną? Perspektywa pozostania na miejscu nie wyglądała wesoło: ani konia, ani krowy, brak jakichkolwiek narzędzi rolniczych. Został.

Dzisiaj stan inwentarza przedstawia się następująco: 4 krowy, 2 konie, 50 kur, 2 owce, 6 warchlaków, 1 maciora z 10 prosiętami, 1 knur.

Stan inwentarza nie daje jednak pełnego i właściwego obrazu. Dojdźmy, że w roku 1951 w czasie dożynków w Poznaniu Ratajczak został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi za wyniki osiągnięte w

kontrakcji buraka cukrowego. Został mistrzem Polski z wynikiem 633 q z 1 ha. Z dumą pokazuje mi wyciętą z gazety fotografię.

O, tu jest tow. Bierut, a tu ja. Sam tow. Bierut dał mi ten Krzyż. Chyba tego dnia nigdy nie zapomnę. To się nie często zdarza mieć możność rozmawiać z Pierwszym Obywatelom Polski Ludowej. Kto to widział przed wojną, żeby prezydent chciał pogadać z prostym ludźmi!

Te 633 q to nie jednorazowy wynik. Ratajczak nie pracuje „zrywami”. Każdy rok przynosi nowe osiągnięcia. Ponadplanowe dostawy zboża i ziemniaków, wysokie plony w uprawie roślin przemysłowych są rezultatem ciężkiej i inteligentnej pracy. W zeszłym roku za wysokie zbiory osiągnięte podczas współzawodnictwa z sąsiadującym w pobliskiej wiosce Szpyrkowskim otrzymał jako nagrodę brzozy. Nagród tych ma dużo. Na kredensie stoi blizszy „Pionier”, też nagroda.

— Ubięraj się, Edmund, o dwunastęj podwoły mają stać przed szkołą — zakrzyknął sąsiad, wetknąwszy głowę w okno.

— A może i wy byście się wybrali z nami? 13 km wytrzeszcie się wozem, ale będziecie na obchodzie Święta Ludowego w Kobylem. Propozycja była nieoczekiwana, zgodziłem się jednak bez namysłu. Ratajczak wyszedł się ubierać, rozjeżdżałem się po pokoju.

Na stole pod oknem stały rzędami książki. Wstałem z fotela (tak! z fotela!) i pochyliłem się nad nim. Oto niektóre tytuły:

N. Kaczyński — „Gleba”,

J. Tokarski — „Gleba i jej życie”,

A. Listowski — „Ziemniaki”,

J. Lewandowski — „Chów bydła”,

W drugim rzędzie następujące:

VII i XI tom Dzieł Stalina.

B. Bierut — „Pod sztandarem Frontu Narodowego”,

B. Bierut — „Nieśmiertelne nauki tow. Stalina”,

Na brzegu stołu stała pisma „Pion”, „Gromada-Rolnik”. „Wsi” nie zauważyłem. Krzyknąłem więc do drugiego pokoju:

— A „Wsi” nie czytacie?

— Czytuję, jeszcze jak. Nie ma na stole? Po ludziach jest. Bo albo ja noszę, albo ludzie sami zabierają. Jak coś przeczytam i widzę, że się czegoś można nauczyć, od razu niosę do ludzi. Weźcie takie buraki. Uprawiam je tak, jak to wyczytałem z jednej książki. Jaki był jej tytuł? Ano, Kubasa „Buraki”.

— Był tam o pogłębianiu. Rozumiecie się trochę na rolnictwie? No więc, jak mówię, na burak trzeba orać raz, ale z pogłębianiem, bo wtedy burak jest dłuższy, rośnie łatwiej do ziemi, korzeń gruby, stąd i słodczy więcej. Prosta rzecz, prawda? No tak, ale to trzeba się było skądś dowiedzieć. Macie jeden przykład. — Dopiął marynarkę i zwrócił się do żony:

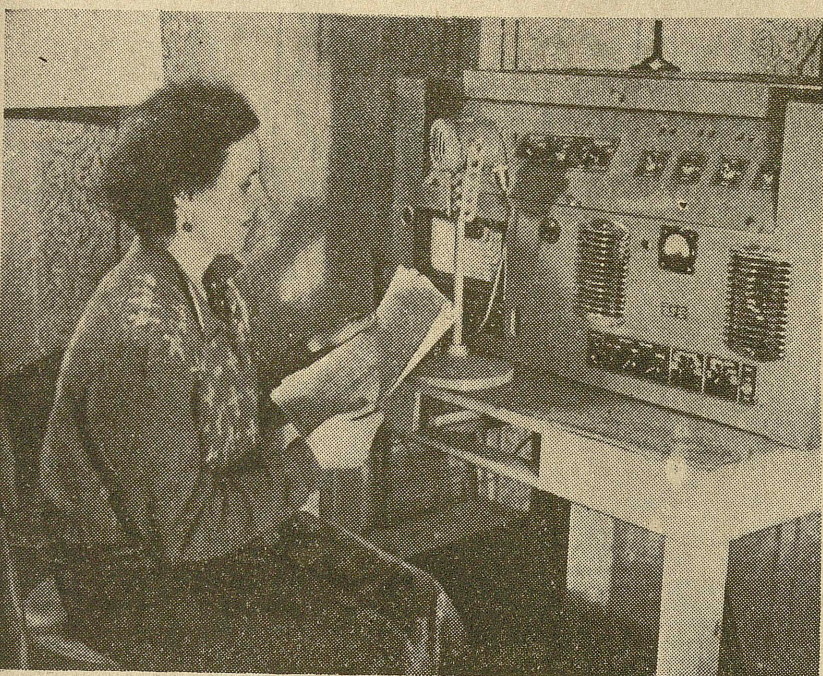
— Idziemy. Do widzenia, matka... — Ile to ja się prostych rzeczy z książek dowiedziałem. A potem praktyka, duża praktyka.

Przekonuję na wszystkie strony za spółdzielnią produkcyjną, bo przecież to takie logiczne. Dopiero na wielkim obszarze można poprowadzić prawdziwą naukową gospodarkę. W Nowej Wsi już zaczęli, i jak im się powodzi!

— Skąd — przerywam — bierzecie książki?

— Różnie bywa. Niektóre sam kupuję, dużo przysyła mi Samopomoc Chłopska, bardzo dużo też dostaje z Wydziału Upowszechnienia Wiedzy Rolniczej w Poznaniu. Dziś jak człowiek chce, to książki się same zjawiają, czasami nawet nie wiadomo kto przysyła.

Piotr Guzy



JAN ONOPA

Do radiowęzła w Aleksandrowie!

MOŻE to nie najciekawsze, warto jednak najpierw wyliczyć po kolei członków komitetu radiowęzła w Aleksandrowie, małym 10.000 mieszkańców miasteczku pod Łodzią. Spis wygląda imponująco. A więc: ob. Panonin z PSS — przewodniczący, ob. Szymonek z zarządu fabrycznego ZMP — v. przewodniczący, ob. Trzybiński z GS — sekretarz, ob. Szymańska z dyrekcji fabryki pończoch, ob. Rogowski z MRN, Jurkowski z Czesław z Partii, Pierlejewski z Liceum Ogólnokształcącego — członkowie, wreszcie Stobiecki — kierownik radiowęzła.

Ciało, zdawać by się mogło, bardzo rozległe, reprezentatywne, obejmujące najwęższe instytucje miasteczka. A jednak serdeczna żaloga o garnia człowieka, kiedy słyszysz naszą aleksandrowską radiostację: „Obywatele, przypominamy o konieczności szczepienia zwierząt domowych. Tyczą się to nie tylko inwentarza żywego, ale również kotów i psów”.

„Obywatele — tępicie szczury, bo to straszna plaga, tępicie muchy, bowiem roznoszą zarazki, co zostało naukowo stwierdzone. GS posiada pełen asortyment trutek i mucholapów. Spieszcie się, idą gorące dni!”.

„Obywatele, przypominamy godziny urzędowania w Miejskiej Radzie Narodowej”.

Zapowiadano także niedawno pogadankę wychowawczą, specjalnie dla aleksandrowskiej młodzieży, ale na zapowiedzi się skończyło.

Przewodniczący Komitetu składali mi osobliwy rachunek sumienia. Przyznawali, że program radiowęzła nie odpowiada istotnym potrzebom miasteczka, ale ostentacyjnie nie bardzo jest o przez lokalny mikrofon nadawać. Nie najlepiej się z taką wypowiedzią wybrał. Jestem od szeregu lat mieszkańcem Aleksandrowa. Zżyłem się z miasteczkiem i jego kulturalnym rozkwit bardzo mi leży na sercu. Dlatego niechęć mi Komitet Radiowęzła wybaczyć te garść uwag i miejscami zbyt mocne ostrzeżenie, niechże wybaczy, że zwrócić mu uwagę na tematy dla radiowęzła.

Jest w Aleksandrowie do zaatakowania pewien bardzo szkodliwy zwyczaj, nazwany popularnie „kultem matki boskiej pieniężnej”. Miejsce kultu to po prostu Gospoda Ludowa III kategorii, otwarta w rynku do późnej nocy. Od niezapamiętnionych czasów przyjęła się w Aleksandrowie tradycja polegająca na tym, że z wypłaty przeznacza się pewną część na „skromną” uroczystość euto zakropioną rozmaitym gatunkiem alkoholem. Robotnicy wykonują ów kult 2 razy w miesiącu, a więc 24 razy rocznie. Urzędnicy natomiast „świętują” w knajpie raz „koło pierwszego”, czyli 12 razy rocznie. Rzecz prosta oprócz tych aleksandrowskich dni trafiają się inne okazje do wypicia. Któż o tym nie wie. Każdy mieszkający w miasteczku, obsługa lokalu.

To nie jest błąd problem, daleko więcej ważny niż zaważadanie o godzinach urzędowania. Iluż to ojców oświadcza dwa razy w miesiącu, że ma szczególnego pecha do gubienia pieniędzy! Ile matek z trudem przez to lata rodzinny budżet. Muszę powiedzieć prawdę. Jak na robotniczy mały Aleksandrowiś piaków i awanturników jest zbyt wielu. I z tą spuścizną po niemoralnych, kapitalistycznych czasach powinien walczyć radiowęzeł. Wielkie to pole do popisu dla Komitetu. Pięków można wyszperać, do mikrofonu można mówić żony, matki a nawet dzieci. Bardziej burzliwe „posiedzenia” w gospodzie można otworzyć siłami miejscowego zespołu artystycznego, choćby z fabryki pończoch.

Mnie się wydaje, że warto by mieć dla celów radiowęzła specjalnego rodzaju reporterów. Powinni być zrzęcańcami zetempowcy. Ludzie na ulicach miasteczka wiele mówią, przystają na rożach, komentują ostatnie wydarzenia.

— Moja pani kochana, słyszała pani o tej zabawie w Domu Kultury?

— Ano, ano, milicjantowi nie starczyło bloku na protokoły... — Jakże m.ż. już zdrowy po tej napaści chuliganów?

To są częste rozmowy w moim miasteczku, opinia do żywego jest poruszona wypadkami pijanstwa i chuliganstwa, lecz jest to opinia luźna, ją to powinien zorganizować radiowęzeł i w ten sposób uczynić skuteczną.

Nieobytę w naszych aleksandrowskich stosunkach przybysza stanowczo nie ośmieliłbym się zaprosić do naszego kina. Panuje tu zawsze taki hałas, że normalne odbieranie wrażeń jest niemożliwe. Moją koleżkę, studentkę łódzkiego uniwersytetu, usiłował zwrócić uwagę sąsiadowi w kinie na niewłaściwe zachowanie. Został oburzony wszelkim śmiechem, zagadnięty dał mu tęgą kulska na bok, a następnie począł na głos wołać: „puść pan to ciało” — i tym bowiem przedstawiał właśnie scenę miłosną.

Do kina chodzi prawie cała aleksandrowska młodzież, chodzą dzieci ze szkoły i młodzi robotnicy z fabryk. Wydaje mi się, że ten przybytek X muzy zupełnie nie wypienia wychowawczą rolę. Przeciwnie, stanowi miejsce popisu dla chuliganów. Cóż na to nauczyciel Pierlejewski z radiowęzła i przedstawiciel młodzieżowy w Komitecie?

Przypominam sobie jeszcze jedno smutne wydarzenie. Teatr Ludowy z Łodzi zapowiedział przedstawienie pt.: „Idylla wczasowa”. Aleksandrow zakupił aż 30 biletów. Kierownictwo Artosu odwołało przedstawienie. Artystów odprawiało do tramwaju, trzeba to powiedzieć, przysięgiowa „kocia muzyka”.

Oto tematy. Podjął je, to tyle co rozpoczął nowy, wyższy etap walki o naszą aleksandrowską młodzież. Nie rozumiem takiej miłości do rodzinnego miasta, jaką uprawia nasz radiowęzełowy Komitet. Kochać to znaczy odpowiadać za rozwój miasteczka, a nie pobłażać, lub co gorsza — ochrząliwie wymijać co drażliwsze sprawy.

Mamy w Aleksandrowie wcale nie mało pięknej i dzielnej młodzieży. Nie tak znowu dawno pisało na łamach „Wsi” o siostrach Kubik, robotnicach z zakładów pończosznicy. Jeżeli nie to właśnie, zamieszczono we „Wsi” opowiadanie, to we własnym zakresie nakreślone sylwetki dziewczyn, które odzyskały miłość ojca, dopomogły mu przejść na pozycję postępu, powinny być odczytywane przez nasz mikrofon.

Mamy i innych bohaterów, stanowiących wymowną przeciwwagę dla chuliganów, pokazujących młodzieży potyjącą i prawidłową drogę rozwoju. Taki właśnie chłopak to ślusarz Gromek, zamieszkały na krawędzi miasteczka u Podsiadłowiczów, chłopów aleksandrowskich. On to, skromny i cichy, stał się głównym motorem w walce o spółdzielnię produkcyjną. Dziś już osiągnął tyle, że Podsiadłowiczowie i inni powołali do życia Komitet Założeń. Metody pracy Gromki, jego gawędy wieczorne w kręgu sąsiedzkim, gawędy o naszym kraju, który się przemienia — oto temat dla radiowęzła.

Miasteczko w którym mieszkam jest o tyle w szczególnej sytuacji, że sprawa pijanstwa, walki o moralną postawę młodzieży przeciwko chuliganstwu, jest konieczna bardziej niż gdzie indziej. Ale ta szczególność nie powinna w niczym hamować pracy radiowęzła, jak to się dotychczas dzieje. Komitet myśli bowiem, że to jest lokalne, to jest równocześnie nieważne. Tymczasem to jest ważne dla Aleksandrowa.

Stoi przed nami otworem nowy etap walki o młodzież. Pewno, że wymaga on skupienia wszystkich wysiłków do wspólnej walki. Ale te wysiłki powinny ujawnić się w pracy radiowęzła.

A komunikaty? Nikt przeciw nim nie występuje.

Jan Onopa

EDWARD POCHRON

ORGANIZATOR CZYTELNICTWA I...

NA rejonowym Zlocie III etapu Kursu Czytelniczego ZSCH w Tarnowie wyróżniał się wśród uczestników Łysy, tegi, 50-letni nauczyciel z Łekawicy (pow. Tarnów). Był chyba najruchliwszym człowiekiem na sali. Mimo bowiem, że chodził powoli, nie spiesząc się, wszędzie jednak było go widać. Zebrał też rzęście brawa, kiedy przez 15 prawie minut odbierał dyplomy, odznaki i nagrody książkowe dla czytelników swojej wsi. Przypominał wtedy żniwiarke, która odebrałszy spod kosa podcięte zboże, bierze je na ramię, a następnie uклада kolejno na powroście. A żniwo miał nad podziw — 15 dyplomów, 4 odznaki, w tym jedna złota dla niego i 4 nagrody książkowe.

Nauczyciel, Józef Spiechowicz, pochodzi z rodziny miechowskiego robotnika. Ukończył w trudnych warunkach seminarium nauczycielskie. Potem uczył w szkole wiejskiej w pow. Brzes. Litewski. Tam to zetknął się po raz pierwszy z komunistami. Podczas wojny przez dwa lata uczył w Związku Radzieckim.

Po powrocie do Polski w rodzinnej wsi żony zaczął organizować życie kulturalne od nowa. W Szczurówce (pow. Brzesko) zakłada Szkołę Zawodową i Liceum Administracyjno-Handlowe oraz Gminną Bibliotekę. W 1949 roku został skierowany na stanowisko kierownika szkoły powszechnej w Łekawicy (pow. Tarnów), bo tam...

O tym właśnie opowiem, pozostając wierny zasadzie Spiechowicza — „nie lubię gadulstwa, a fakty, cyfry i robotę”.

Józef Spiechowicz na pierwszy rzut oka wygląda na podstarzałego, jowialnego pana. Kiedy mu się jednak przypatrzę, przypominam mi się Bachmanów ze sfilmowanej powieści Ażajewa „Daleko od Moskwy” — tegaw, łysy, zawsze spokojnym głosem przemawiający kierownik wielkiej budowy. Taki jest Spiechowicz — łysy, tegawy, spokojny, o powolnych ruchach. Stuchając referatu notował sobie tzw. główne myśli. Bałem się, że w dyskusji będzie je odklepywał. Ale nie. Tęczył z nich tytuły punktów, pod które podstawił cyfry, fakty i konkretną walkę.

SERGIUSZ JASKIEWICZ

OPOWIEŚĆ O WACŁAWIE KAŁUŻY

NA bezchmurnym niebie wysoko jeszcze stało słońce, gdy dotarłem do Żelowa. Na rynku — niemal zupełnie pusto. Piękne majowe, sobotnie popołudnie. Wszyscy popiechali się dzisiaj po pracy do domu, by z rodzinną wyjątkowością wycisnąć się między wzrastającym z wiekiem, wiodące w szeroką, wolną przestrzeń, ku okolicznym wioskom.

I wtedy właśnie, z sennej zadumy, wyrwała mnie smutka sylwetka nadziejącego na rowerze człowieka. Człowiek ten ubrany był w ciemny, sukieny mundur, na ramieniu dźwigał wielką majdanlarską torbę, pot spływał mu z twarzy. W przelotnym spojrzeniu tego człowieka uchwyciłem, o dziwo, uśmiech...

Człowiekiem tym był Wacław Kałuża. Nie wiedząc o tym jeszcze — poszedłem w ślad za nim...

26 kilometrów liczy jego odcinek frontu walki o kulturę. Na tym rozległym odcinku doreczył w sobotni upalny dzień 342 gazety i czasopisma, nie licząc rozprawionych przy okazji książek i nie licząc 107 przebiegów listowych. Myśle: Trzystu czterdziestu dwójce ludzi oczekiwało dziś Wacława Kałuży, trzystu czterdziestu dwójce rąk odbierały z jego dłoni słowo drukowane.

Sentyment do książki i gazety u Kałuży był sentymentem dawnym, zamartwiał w nieprzyjemnych okolicznościach wzrostu. Skromny „Mały Poradnik” odróżnił ten sentyment. Kałuża zaczął szukać. Po macaku. Na ślepo. Kiedyś listonosz przyniósł mu książkę, a kolporter w cegielni namówił na wojewódzki dziennik. W dzienniku wyczytał wzmiankę o tygodniku, w tygodniku — o nowej książce. W swojej gromadzie rozmawiał z sąsiadami, z których nie jeden nieufnie zrazu zawierał pierwszą w życiu znajomość z książką i gazetą...

Ileokroć Kałuża doszukiwał się w gazecie wzmianki dotyczącej terenu jego gromady, jego gminy jego powiatu — tak po prostu, nawet bez świadomej zrazu intencji — pokazywał ją temu i owemu sąsiadowi, pogadał z innym. I oto sprostował, że po tych przypadkowych rozmowach ludzie dotąd na boku stojący zaczęli czytać, a inni przychodzili doń pytać się „co tam słychać”. Tak według siebie zaczynał swą drogę do funkcji doręczyciela wiejskiego. Tak, według mnie, zaczynał swą drogę działacza kulturalnego.

Do nauczyciela Wacława Kałuża podchodził zawsze z sentymentem i zaszłością pewnego rodzaju. Dostrzegał piękną funkcję społeczną roboty oświatowej, doznawał żalu, że on to tylko cegłę kraje, gdy to mogliby, czynić ci,

Spokojne oczy Spiechowicza przyciągają, wyczuwa się w nich siłę charakteru i woli, a zarazem jakieś ciepło. Nie raz wyczytywali w nich ludzie: Nigdy się nie cofa i nie załamawia! Zawsze wierzyć w człowieka, w opętany przez płótkę widzieć przyszłego przyjaciela!

Kiedy z końcem sierpnia 1949 r. zjechał do Łekawicy nowy kierownik szkoły, ludzie ciekawie mu się przyglądali. W pierwszym rzędzie chcieli rozoznać jego kolor polityczny. W tym czasie byli jeszcze bowiem w Łekawicy tacy, co „opłakiwali” ucieczkę p. Mikołajczyka i po cichu marzyli o jego „zwycieskim” powrocie. Spiechowicz już po kilku dniach rozpoznał, jaki będzie miał teren pracy i jak szeroko wypadnie walczyć z duchem mikołajczykowszczyzny. Jak zwykle bez wstępnych ceremonii zabrał się do roboty. Niejedną noc przedyskutował z kolegami z grona nauczycielskiego, których też obeszradnił tujejszy „duch”. Przekonywał, zbijał argumenty, agitował. Przydały się dawne doświadczenia ze współpracy z komunistami i radzieckimi ludźmi. Uczył nauczycieli socjaliz-



mu w najprostszym i najskuteczniejszym sposobie: cyfry, przykłady, konkretna praca i gorące przekonanie do sprawy.

Agitacja Spiechowicza w szkole nie pozostała bez echa we wsi. Jak kurczęta, które kłoka ostrzega przed krąjącym w górze jastrzę-

ciem, skulił się chłop i schronił w pokrzywy. Ale nowy kierownik szkoły nie należy do ludzi, co łatwo się zrażają i ustępują. Mając za sobą szybko postawiony na nogi kolektyw nauczycielski, przypuścił szturm na Łekawicę.

Jastrzęb spadł najpierw na najmłodsze kurczęta. Starawy, jowialny pan w pracy z młodymi zetempowcami okazał żywiołową młodzieńczość. Szkoła po południu stała się świetlicą i salą zebrań. Schodzili się przeważnie sami młodzi. Starsi bali się jeszcze czerwonego jastrzębia. Ale oni się spodziewali, że atak na koło ZMP i szkolne dzieci to przedwstępne ugruntowanie frontального ataku.

Nim do tego doszło, Spiechowicz po nocach uzbrojony w okulary i obłożony gazetami uczył się, bo według niego nauczyciel wiejski musi się znać na wszystkim. Dziś prenumeruje tylko... 80 czasopism.

Zaczął od rewolucji kulturalnej. Była to walka z analfabetyzmem i walka o zdobycie chłopu dla książki. Dawni analfabeci dobrze się widać rozmakowali w pisanym słowie, skoro 55 z nich (na 56) zostało stałymi czytelnikami. Najlepsi zaczęli od bajek dla dzieci. I tak to od skromnych początków doszedł duży zespół do drugiego miejsca w skali ogólnopolskiej w II etapie Konkursu Czytelniczego, a w III...

Józef Spiechowicz pomimo 50 lat jest trochę marzycielem, skoro postanowił w Łekawicy przekroczyć pół tysiąca ankiet. Początkowo sam chodził po domach. Wydeptał ścieżkę harcerzykom. Agitowało już kilkudziesięciu smyków. Wpręgnął w robotę również ZSCH. Nie przekona harcerz, czy zetempowiec, zdołają być tacy członkowie ZSCH.

Bywało więc, że mąż czytał po kryjomu przed żoną, a żona tak się rozmakowała w „zerkaniu” do chowanego książki, że nie wiedziała, kiedy sama została czytelnikiem skromnym do małżeńskich dyskusji. Z tych wszystkich siewów zebrało się w ogólnym plonie 347 ankiet. Starzy ludzie ciężką mają rękę do pisania, spóźnili się więc z wypełnieniem wypowiedzi. 170 ankiet przyszło do Zarządu Pow. ZSCH w Tarnowie już po terminie. Komisja nie urzędowała. Nie chciała jej się zebrać dla oceny „społecznych”. Urzędowo zatem zaliczono 347, w rzeczywistości napłynęło 517 ankiet, ponad pół tysiąca. W Łekawicy padł swoistego rodzaju rekord. Nie uznano go w konkur-

którzy nie czują innych potrzeb i dla których świadomość uczestniczenia w budownictwie przez produkcję jednego z jego elementów jest właśnie tym, czym dla niego, Kałuży, możność uczestniczenia w robocie oświatowej...

Aż go kiedyś myśli dziwna olśniła. Wracając z cegielni przechodził obok szkoły i zatrzymał się z zaciekawionym wzrokiem na szkolnym dziedzińcu listonosz niby legendarny Mikołaj wyciągał z torby kolorowe jakieś piśmko, a dzieciarnia wyciągała rączki, przekomarżając się po przyjacielsku z człowiekiem w mundurze... Wtedy właśnie zdecydował się. Spozstrzegł, że oświatowcom można być — będąc niekoniecznie nauczycielem.

I poszedł na pocztę.

Poznał cudze i koncipował własne metody pracy z czytelnikami i nad czytelnikami, każdy eksperyment zaczynając od siebie. Zasłyszał kiedyś jak na odpawie jeden z listonoszy tłumaczył w jaki sposób w jego rejonie rozszło się licznie czasopismo fachowe „Pszczelarstwo” w tym samym czasie, gdy w innych rejonach nie miało zupełnie czytelników. Oto listonosz ten po pracy przeczytał sobie numer piśma i pomyślał, kto właściwie w rejonie lubi pszczoły? I poszedł później do tego, który



pszczołki lubił, a ten zainteresował się piśmem, zapremunował je, wskazał listonoszowi dalszych zaprzysiężonych pszczołarzy — i tak do właściwego czytelnika trafił listonosz z właściwym piśmem.

Inny listonosz na prośbę wieśniaka o „duże litery”, zaaplikował mu mechanicznie „Świerzyżyczka”. Wykonał plan o egzemplarz lepiej i... za miesiąc stracił prenumeratora, bo się ostatecznie chłop-początkowo zdecydował, że na dzieciennienie jeszcze mu sporo lat czasu zostało... Do tego chłopca — poszedł z „Gromadą”. To chwyciło. Chłop zaczął czytać — i został przy piśmie.

Stary, przeszło 60-letni Króliczak znowu uczył swym przykładem, że jak się idzie w teren z książką to najlepiej gdy się ją samemu przed tym pozna.

Tak zbierał Kałuża doświadczenia. Kiedyś, na początku, pogadał z małorolnym Hesiakiem z Maurycowa, który nierzadko nie czytał. Oddając jakiś list, nawiązał do robot aktualnych w

połu i „od niechcenia” do notatki na poruszony temat w „Gromadzie”. Hesiak się zainteresował. A Kałuża? Kałuża zostawił mu egzemplarz! „Przeczytajcie sobie — powiedział — do jutra. Jutro odbiorę!” Następnego dnia Hesiak sam go się zapytał, czy nie może tego numeru „sobie odkupić”. Wtedy Kałuża wyjaśnił mu sposób prenumeraty i zdobył prenumeratora. Dziś czyta już „Głos Robotniczy”, „Trybunę Ludu”, „Przyjaźń”...

W ten sposób na swym rejonie w Sromotce, gdzie przyszedłszy zastał 100 prenumeratorów — zostawił ich, przechodząc na inny rejon — ponad 300. W ten sposób na nowym rejonie Kałuży stan prenumeraty z 290 wzrósł do 519 na dzień mej wizyty, a Kałuża zdobył sobie pozycję produkującego w żelazowej placówce listonosza w zakresie popularyzacji czytelnictwa.

Dla uczczenia Zjazdu Spółdzielczości Kałuża wraz z kolegami postanowił zjednać 100 nowych prenumeratorów pracy rolniczej — fachowej, z analizy terenu snując wniosek o zbyt słabym nasyceniu tą właśnie prasą, nasyceniu nieproporcjonalnym do rozwoju spółdzielczej idei. To było 23 lutego. Zobowiązanie zostało wykonane. W robocie był Kałuża i Króliczak, Wiśniewski i Kudajczyk, Nawrocki i Gronowski, Kryszek, Pawlak, Grabowski i Gasiński — ambitny i ofiarny, godny swego kolektywu kierownik placówki. Mało ludzi w Polsce o tej robocie wie, niknie ona w gronie naszego budownictwa i w ogromie naszej ogólnonarodowej rewolucji kulturalnej. Ale powiedzmy sprawiedliwie — na ten właśnie ogrom składają się drobne „cegłki” w w rodzaju cegiełki Kałuży i towarzyszy.

Wzrok mój pobiegł w kierunku wskazany przez jego rękę. Zowazyłem światło na drugim stronie ulicy, we wnętrzu budynku. Był to budynek Szkoły nr 1 — „Patrzcie — mówiła Kałuża — tam pracują w tej chwili Byjochowie na Wystawie...”

„Nauczyciele — są sami, my — jesteśmy sami, młodzież — sama i niektórzy pojedynczy aktywiści sami. Kolektyw kulturalny u nas tu nie ma... Popatrzcie na miasto — czy gdziekolwiek choćby zewnętrznie poza szkołami, widać że mamy w tej chwili Dni Oświaty, Książki i Prasy?”

Wniosek: Miasto, miasteczko, gmina i gromada — wola o szeroki aktywny kulturalny O pomoc Byjochom i Kałużom w robocie oświatowej, w codziennej pracy nad upowszechnieniem czytelnictwa. W Dniach Oświaty i po tych Dniach. W latach Oświaty Książki i Prasy!

Sergiusz Jaskiewicz



Rys. B. Butenko

STANISŁAW KAMIŃSKI

POWROT Z PLACÓWKI

Ojcu

Pamiętam — rok czterdziesty piąty, wiosną
— nad ziemią jeszcze echo salw się niesło,
rudziały jeszcze noce w ogniu blaskach,
krew krzepła na poprzestrzelanych kaskach.

Pociski jak stada wędrownych ptaków
do ostatniego biegu ataku.

A tyś, rezerwista w karabin niezbrojny,
szedł na placówkę ocaloną z wojny.

Cała broń twoja to książka i słowo —
w nich zawierałeś prawdę życia nową.

I wieś nie była spokojna, wesola...
bandyta lufę przystawiał do czoła —
i padł od kuli niejedyn Seweryn*)
za to, że dzieciom rysował litery;

za to, że w duszach dziecięcych budował
nowe światy, marzenia — że jak kowal

przekuwał nieforemny jeszcze kruszec,
na pełną hartu i zapалу duszę;

za to, że myśl jego była jak granat
w szańce serc ludzkich ze szkoły rzucana.

Tyś przetrwał, ojcie, na swoim przyczółku,
odpierając trudy, które pulk po pulku

szturmowały ciebie steranego życiem.
Nigdy nie pytałeś: poddać się, czy bić się?

A gdy powrotu trudna przyszła chwila
na chleb zasłużony z frontu do cywila,

przywoziłeś ze sobą zeszyty i książki,
na których przetrwał ślad twej krwi drżącej.

za to, że do tych zeszytów powracasz
ukradkiem nieraz, że wiem: twoja praca

ludzi w siły pierwsze uzbrajała wielu,
kocham cię ojcie — nauczycielu!

*) Władysław Seweryn — nauczyciel-a
ktywista zamordowany przez bandę w
okolicy Wołbromia.

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

„Kompleks zapłocia“
pryska...

W terenowych doniesieniach nauczycieli było zawsze coś wzruszającego. Suche, zdawać by się mogło, informacje o uruchomieniu świetlicy, zespołu dobrego czytania, rzeczowa informacja o powstaniu jeszcze jednej spółdzielni produkcyjnej w ciężkiej walce klasowej, albo choćby tylko uporządkowanie rachunków w GS — to wszystko ożywało, nabierało rumieńców pod piórem nauczyciela. Zapewne dlatego, że u podstaw tych osiągnięć dostrzegało się skromnie często ukrytą, ale przecież wyraźną, bohaterską nie raz pracę nauczyciela. Ta właśnie wysoka cena, jaką płać za uczestnictwo w zwycięstwach gromady czy gminy — najwięcej wzruszała. W wyobraźni widziało się smutne czasy — jakiegoś samotnego, samotnego drogi, po których szedł, by agitować na gromadzkim zebraniu za socjalistyczną gospodarką, nieprzespane noce spędzone nad obmyśleniem świetlicowego repertuaru. To musiało wzruszać. Ale i niepokoiło równocześnie. Czemuż to tak samotnie, w pojedynkę, bez aktywnej, dzielnej grupy?

Pamiętam pewną wesołą i smutną zarazem przegrodę w terenie. Było to chyba rok temu.

— Gdzie mieszka nauczyciel Molendys?
— Molendys, ten od rachunkowości?
— E, gdzie od rachunkowości, toć to przecie weteryniarz.
— Co człowiekowi w głowie krecicie, to nasz bibliotekarz...

Stowem wszystko, tylko nie nauczyciel. Wszedłbyśki aktywista, bohater większości gminnych spraw, znanawca wszechrzeczy na odcinku gromady, pracowitość do utraty tchu — to właśnie chwyciłoby za serce i trwożyło je.

Ostatnie wypowiedzi nauczycielskie, jakie właśnie otrzymaliśmy (drukujemy część z nich na tej kolumnie), również wzruszają. Lecz jest w nich coś dotychczas nieznanego.

Zamiast szeregowego aktywisty, który pełnił wszelkie możliwe funkcje — buchallera, weteryniarza, dyrygenta, śpiewaka, mówcy, radnego, eh — przerwijmy już tę listę, niesposób jej w całości wypisać — widzimy oficera sztabowego, współpracującego z aktywnym gminnym. Powiązanie się z aktywnym, a przez to wywinięcie się w hierarchii działacza gminnych na czoło, to cecha współczesnego etapu pracy nauczyciela w terenie.

„Coraz częściej funkcja nasza polega na robocie organizacyjnej, doradczej i kontrolnej. Mamy bowiem w gminie już takich ludzi, którzy sami prowadzą odczyt, dyskusję...“ pisał kol. Zofia Talik z Miłówki, pow. Żywiec.

Ta właśnie sytuacja spowodowała, że terenowe doniesienia naszych pracowników oświatowych po raz chyba pierwszy tak wiele mówią o... szkole.

Kolega Roman Szczypień z Bojanowa, pow. Nisko, zorganizował w szkole młodzieżowy, silny, wydajny społecznie kolektyw, więcej zdolny niż nauczyciel na 10 gminnych funkcjach. Toć to przecież młodzi, ba — dzieci nieledwie, ożyli wiesz gospodarstwo, pomagali zlikwidować analfabetyzm, rozmiłowali chłopów w czytelnictwie książek, pomagali przy elektryfikacji gminy, sprowadzeniu stałego kina...

Ten rzadki dotychczas temat — SZKOŁA — bardzo się rozróżnił w ostatnich wypowiedziach i sięga daleko poza problem użycia młodzieży do rewolucjonizowania stosunków w gromadzie. Nie chodzi już nawet o żywsze niż kiedykolwiek przeżywanie troski nauczycielskiej o wysoką wydajność młodzieży w nauce, czy nieustanne powracanie do sprawy politelnizacji nauczania.

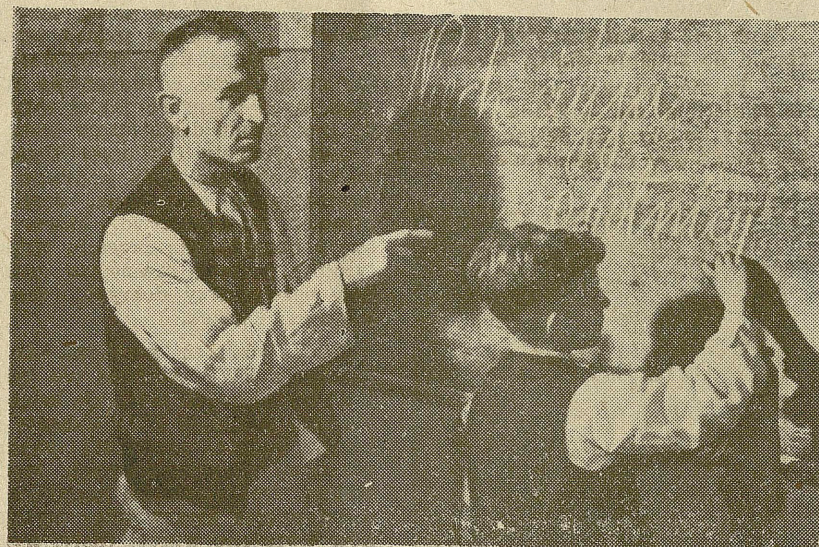
Warto podkreślić tu inny, niezmiernie radosny fakt, ten mianowicie, że nauczyciel wyraźnie porzuca niebezpieczny „kompleks zapłocia“. Sprawa tego kompleksu ma swoje dwie strony. Jedną z nich odnajdujemy w słowach kol. Felicji Majdańskiej (Redkowice, pow. Legnica): „Nie ma lepszej pracy w powiatowym miasteczku czy wojewódzkim mieście, a gorszej w małej, oddalonej gromadzie. Wszędzie są ludzkie potrzeby, wiele pracy do wykonania, wszędzie są ludzkie serca i społeczna wdzięczność za sumienną robotę“. Słowa te oznaczają nie tylko przekonanie, że wszystkie odcinki pracy nauczycielskiej są jednakowo ważne, nie ma lepszych i gorszych szkół w naszej ludowej ojczyźnie, ale głębokie przywiązanie do zawodu nauczycielskiego, troskę o należyte jego wykonywanie. To jedna strona dawnego kompleksu zapłocia, który powodował odpytywanie oświatowców z dalszych, bardziej zafolowanych gromad, gdzie właśnie najbardziej byli potrzebni.

Nie ma co ukrywać, tym więcej, że przesilenie już następuje, druga strona „kompleksu zapłocia“ ujawnia się w pewnym oportunizmie życiowym nauczycieli z tak zwanych „zapadłych“ gromad. „Zapłocie“ miało usprawiedliwiać brak pracy samokształceniowej, oddległość od powiatowego miasta miała tłumaczyć, czemu to nasz bohater prawie nie czytał, nie znajdował czasu nawet na przejrzenie zawodowej prasy. Zapłocie usprawiedliwiał także i to, że nauczyciel reprodukował rokrocznie ten sam kurczący się raczej niż rozszerzający zapasik wiedzy, nabyty kilka lat temu lub — co gorsza — kilkanaście.

Nurt życia umysłowego wezbrał mocno tego roku wśród dziecięcych tysięcy nauczycieli wiejskich. Wielu z nich mówiło na IV Krajowym Zjeździe ZNP o konieczności intensywniejszej niż dotąd pracy nad sobą, wzywano do czytania literatury pięknej, politycznej i zawodowej, która przecież i na „zapłocie“ dociera: Rosnące szybko w terenie kadry rozmaitych działaczy wyzwołyły wiele czasu dla naszego nauczyciela. A on sam zrozumiał, że w każdej szkole, bez względu na jej geograficzne położenie, przekazuje młodzieży i starszym polską naukę, polską myśl postępową. I dlatego rusza tego roku energicznie do wyrównania braków, dopędzenia wartkiego biegu osiągnięć naukowych. Czyż można się tym nie radować?

Wiesław Jażdżyński

Być i nauczycielem i działaczem kulturalnym



ZOFIA TALIK

DO ROLI CZŁOWIEGO AKTYWU

W naszych pięknych, malowniczych stronach, w gromadzie Miłówka, pow. Żywiec, bieda przed wojną aż pisała. W całej okolicy nie znalazłbyś ani jednego samowystarczającego gospodarstwa, sama wokół biedota. A po wojnie? Znakomita część co energiczniej szych odeszła do przemysłu, ruszyli po nowe życie do Żywca, Bielska, Nowych Tych, Węgierskiej Górki. No i w rezultacie ziemi zrobiło się niejako zbyt dużo, a w każdym razie nie ma kto jej obrabiać. Ludzi mało, ceny na robociznę wprost szalone. Powstały więc dzięki przeobrażeniu się w kraj przemysłowy realne warunki na powstanie spółdzielni produkcyjnej w naszej gminie. I rze-

rola — organizatorów i kontrolerów.

Taki stan, niewątpliwie dla nas korzystny, pozwala nam zwracać baczną uwagę na pewien bardzo ważny w naszej szkole problem. Idzie mianowicie o stałe podnoszenie kwalifikacji zawodowych. Ostatecznie nie agronom i nie bibliotekarz, ale właśnie my odpowiadamy przed państwem za postępy dzieci w nauce. Trzeba dobrze sobie z tego zdawać sprawę, że zła, niedostatecznie przygotowana szkoła podstawowa może spowodować, iż zdolne chłopięce dziecko nie przejdzie szkoły średniej, nie zobaczy nigdy sali seminaryjnej na wyższej uczelni. Jak najlepsze wyniki nauczania, najpełniejsze rezultaty wychowawcze — to nasze bojowe zadanie.

W naszej szkole całe grono nauczycielskie posiada pełne kwalifikacje zawodowe. Mimo to problem doświadczenia się, pogłębiania i uzupełniania wiedzy istnieje z całą ostrością. Nasze dzieje biegają szybko, szybko też rozwija się nasza nauka. Ież to nowych wyzwań musimy powinić od zeszłego roku poznać, przedyskutować i ugruntować nasz polonista, albo biolog?

Wszyscy współpracujemy z Komisją Rejonową, wszyscy stale chciwie chwytamy nowe, nieznanne nam jeszcze dotąd osiągnięcia naukowe w ulubionych dziedzinach, piszemy referaty, dyskutujemy, robimy wszystko, co można, aby za rozwój polskiej myśli naukowej nadążyć.

Mimo to problem samokształcenia wśród nauczycieli nie jest jeszcze w pełni rozwiązany. Nasi koleżacy z oddleglejszych gmin muszą nie raz 5 a nawet 10 km przejechać pieszo, by znaleźć się w gronie dokształcających się w Komisji Rejonowej. Problem ten należy niezwłocznie rozwiązać dla dobra naszej szkoły, naszych wychowanków — młodzieży. Jest to przecież najcenniejszy kapitał naszej ludowej ojczyzny.

Zofia Talik

ROMAN SZCZYPIEŃ

MÓJ MŁODY KOLEKTYW

Nie taka to znowu prosta sprawa mieć przed sobą 85 dzieciaków, nie zawsze domytnych, bosych latem, opatulonych zimą w matczynej chusty i widzieć w nich najmłodszych aktywistów, grupę działaczy.

My, nauczyciele, najchętniej wiążemy się z aktywnym partyjnym, z produkcyjnym chłopami, z Komitetem Rodzicielskim, ale dzieci? Pisze taki jeden z drugim jak kura pazurem, robi błędy, od których biega włosy, psoci, ile wlezie, jakże go użyć do pracy w terenie?

Udało mi się w Bojanowie, pow. Nisko, gdzie ucze w szkole 7-klasowej, stworzyć młodzieżowy kolektyw, tenowy i to jest główny powód, dla którego zdecydowałem się napisać do „Wsi“.

Kiedy po raz pierwszy postawiliśmy przed organizacją harcerską zadanie mechanizacji rolnictwa, nowych, socjalistycznych metod pracy na roli, nie liczyliśmy na to ani trochę, że starsi zainteresują się tym, co między sobą mówią dzieci. A jednak? Pamiętam jak dziś, zrazu nieśmiało, a potem już całkiem bezpośrednio zwracali się do mnie.

Jak to jest z tymi miedzyplonami i systemem Wiljamsa, bo coś niewyraźnie chłopak bąba?

Wieg powiedzieliście, że można się takich buraków dochować jak

KONSTANTY KRAWCZYK

Z podróży do ZSRR

W RADZIECKIEJ SZKOLE

JESTEM młodym nauczycielem, nie posiadam jeszcze większego dorobku, zbrywa mi i na doświadczeniu. Do Kraju Rad pojechałem pełen napięcia i ciekawości — tak bardzo chciałem poznać przodującą szkołę, porównać ją z naszą.

U nas w kraju zauważamy przy szkołach wiejskich, często i małych miasteczkowych takie zjawisko: wielu nauczycieli, znakomita większość, może się indywidualnie poszczycić pięknymi osiągnięciami w pracy społecznej pozaszkolnej. Ale nie umiemy jeszcze szkoły jako całości powiązać z terenem, zbliżyć nauki do życia, zwłaszcza w szkołach podstawowych.

Dlatego też zapewne poświęciliśmy w czasie wycieczki najwięcej uwagi politelnicznemu wykształceniu. Jest to zagadnienie, którym szkoła radziecka żyje, zwłaszcza po XIX Zjeździe KPZR. Kształcenie politelniczne, jak mi się wydaje, wymaga zrealizowania dwóch podstawowych warunków. Oba są w szkole radzieckiej spełnione.

Po pierwsze chodzi o materialne warunki — niezbędne pomoce naukowe, możliwe najbogatszy sprzęt laboratoryjny dla gabinetów fizyki, chemii, biologii. Prawie każda szkoła, jaką zwiedziłem, a były to placówki typu średniego, posiadała pracownię tak obficie zaopatrzoną, że nie zachodziła potrzeba dzielenia przyrządu między kilku uczniów.

Po drugie, nauczyciele radzieccy zbudowali szereg mostów pomiędzy szkołą a życiem. Nie chodzi mi tylko o poletki doświadczenia, gdzie młodzież wkracza w praktyczną stronę pobieranej nauki. Chociaż warto tu podkreślić fakt na ogół u nas mało jeszcze praktykowany. Oto poletki doświadczenia, ogrody miczurinowskie, posiadają w Polsce co najwyżej szkoły wiejskie. W Kraju Rad natomiast i miejskie szkoły posiadają swoje działki, współpracowniczą w walce o wysokie plony z podmiejskimi kolchozami.

Są uszaki i inne mosty prowadzące szkołę do życia. Wycieczki, nieustanne kontakty z wielkimi warsztatami pracy to nie tylko najpełniejsze, najbardziej przekonujące zastosowanie metody pogłębionej. Wielkie budowle komunizmu umacniają przede wszystkim młodzież prawo wzrostu sił wytwórczych w społeczeństwie socjalistycznym. U nas szerokie kontakty młodzieży z krajem stanowią często jeszcze „pięty achillesowy“ naczynia. Wykładamy o socjalistycznej przebudowie naszej ojczyzny, ale, jasne to przecież, żaden wykład nie zastąpi żywej, oglądanej oczami wielkiej budowy — Nowej Hut, Wisłowa, Kombnatu Piotrkowskiego czy Wierzbicy.

Konstanty Krawczyk

nimi zrobić. W rezultacie urządzili piękną choinkę dla dzieci szkolnych, należy im się...

Ostatniej zimy nasz kolektyw podniósł czytelnictwo o 50 procent w stosunku do ubiegłego roku. Dzieciwci i chłopcy sami dobierają książki dla rodziców, wyznaczają im godziny czytania, wrzeszczą same czytając rodzicom. Starsi, jak to starsi, traktowali całą sprawę początkowo jako żart, a teraz gniewają się, gdy książka w porę nie przychodzi lub co gorsza, gdy nasz młody kolektor buntuje się i nie chce czytać. Często obchodzą domy w naszej wsi wieczorną godziną. Byłem nieraz świadkiem wzruszających rozmów. Wbrew temu co się może na oko wydawać, nasze dzieci, zwłaszcza z najstarszych klas, mają już choć niegłębiobny, niemniej jednak naukowy, materialistyczny pogląd na świat. Z konieczną niekiedy powagą tłumaczą zjawiska piorunów, „gromów z jasnego nieba“, wyjaśniają zjawiska prądu elektrycznego, opowiadają o wielkich Polakach. A starzy chętnie słuchają. Zawsze odnośnim wrażenie, dodając w takich wypadkach coś jeszcze od siebie, że w tego rodzaju działalności widać istotną rolę nie pojedynczego nauczyciela w środowisku, ale całej szkoły.

— Felek, powiedz no mi, a jak ty le rzek do morza wpada, to przecie wyleje którego dnia, no nie?

A Felek poważnie wyjaśnia zjawisko parowania, klaruje, jak się ma powierzchnia wody do szybkości parowania.

Mnie się wydaje, że nasze drogie dzieci odegrały wielką rolę w staraniach gromady o elektryfikację, którą niebawem przeprowadzimy. Odegrały wielką rolę w zwycięskiej walce chłopów o kino stałe. Ktoż to bowiem podniecał żywą wyobraźnię chłopów opowiadając, że słyszaniymi na lekcjach o nieznanym kraju, wielkich budowach socjalizmu, które można zobaczyć na ekranach? I Bojanów te cuda widział.

Dlatego można też mówić o poważnej roli naszych najmłodszych w walce o Komitet Założycielski. Kilkunasto chłopów deklarację już podpisał.

Roman Szczypień



PIOTR WYROBEK

Kiedys i dzisiaj

Ufają starzy, że kultura nowa ich dzieci — wnuki — inaczej wychowa. Skończyło się dawne „wychowanie” biciem, głupiało dziecko — dziś cieszy go życie.

Gdy wspomnę sobie na dzieciństwo „sielskie”, jak bawiły się nędznie dawniej dzieci wiejskie, w dni słotne boso za bydłem hasały, okryte workiem — innego okrycia nie miały.

Dziś wiejskie dziecko inaczej wygląda, nowa kultura do niego zagląda, po powrocie w dom, gdy mu czas pozwała, w świetlicy spędza — tam się rozwesela.

— Dzieci moje żyły też w podłych warunkach piłkę zmacniając goniąc po podwórkach, lecz wczulkom dopiero, onym się powodzi, trzyletni malec do przedszkola chodzi. Choć ma zabawki, książki w przedszkolach — jeszcze co tydzień o „Świerczyka” wola — drugi znów starszy o „Płomyczka” prosi — rób co chcesz — wydad i ostatnie grosze.

Piotr Wyrobek, najstarszy korespondent chłopski, liczy 82 lata.

TADEUSZ SŁUPECKI

Przynieśli kulturę...

KIEDY w gromadzie Okup Wielki (gm. Pruszków, pow. Łask) po raz pierwszy zawarzał motor samochodowy, którym przyjechała ekipa łączności miasta ze wsią z Wytwórni Sprzętu Mechanicznego w Łodzi — miejscowi chłopcy patrzyli na jej przyjazd nieufnymi oczami. Była to pierwsza tego rodzaju impreza w ich gromadzie.

— Ee, diabli nam tu nadali tych pierońskich fakturów z miasta! Powiadali w Łaskach, że takie, to aby po chatkach lać lubią i do garów ludziom zaglądać, niby co kto na obiad pitaś... Muszą z nich być jakieś wywiadowce nowych podatków, przytóż, zobaczcie.

— Ii, tam! Jakie z nich wywiadowce... — tłumaczył aktyw tenżejszej spółdzielni produkcyjnej. — Ot, robotnicy z Łodzi, którzy pragną bliżej poznać się z naszym życiem i sprawami, pomóc w potrzebie radą, poweselić się z nami, pospiewać...

— A no, to niech ta już nam pospiewają — zgadzali się po namyśle chłopcy. — Były tylko nosa do garnków i naszych spraw nie pchał...

Ale metalowcy z ekipy WSM potrafili dawać radę nie tylko żelazu w swej fabryce — umieli także poradzić sobie z pozostałymi po czasach kapitalistycznych „chłopską” nieufnością wobec „obcych” przybyszów z miasta. Mieli własną orkiestrę i zespół artystyczny, urządzili więc na zakończenie swej wizyty taką potańcówkę z recytowaniem wierszy i śpiewem piosenek przy okazji, że chłopcy, którzy zawsze żywo odczuwali niedostatek życia kulturalnego na wsi — nabrali jakoś z miejsca więcej przekonania do ekipy. I tak zaczęła się długotrwała przyjaźń łódzkich metalowców z chłopami z Okupu. Przyjaźń, która niejednemu zmieniła tam na lepsze.

A było co zmieniać. Okup Wielki, choć leży parę zaledwie kilometrów za Łaskiem w woj. łódzkim przy pięknej sosie do Wrocławia, nie miał jakoś szczęścia do tzw. „wyższych czynników” ze szczebla powiatowego. Toteż czytelnictwo gazet było tu — jak to mówią — pod psem, w świetlicy — pajaki i pustka, żadnych imprez czy rozrywek, brak jakichkolwiek form szkolenia, brak biblioteki. Koto Gospody, organizacja partyjna nie miała i do tego jeszcze wieś podzielona na dwa obozy: na spółdzielców i chłopów indywidualnych. Stowem, wymarzony temat na współczesną powieść wiejską, ale niełatwy dla ekipy robotników.

Kiedy jej członkowie rozejrzeli się już trochę w sytuacji, dalekie klarować spółdzielcom, że nie wystarczy złożyć w gromadzie spółdzielni, a nawet mieć w niej nieźle rezultaty — trzeba także dbać o jej wzrost ilościowy, agitować wśród reszty. Ale spółdzielcy, których na 37 gospodarstw we wsi było 21, nie tylko jakoby Wojtek swojce:

— Co to my — kościelne działy, czy jak, żebyśmy do nich jak po prośbie chodzili? Chca, to niech sami do nas przyjdą. A i to jeszcze będziemy w nich wybierać jak w uległości: dojrzały jak w wspólnoty, czy jeszcze nie...

Jasne, że w takich warunkach chłopcy indywidualni pomimo widocznych sukcesów spółdzielni produkcyjnej w Okupie Wielkim — nie bardzo kwapili się z prośbami o przyjęcie. Ostatecznie, każdemu z nich (kulaków tam nie ma) wiodło się lepiej niż kiedykolwiek i dzięki temu honor gospodarski grał w każdym bardzo żywo. Cóż na to ekipa?

Ekipa — jak wspominaliśmy — rozpoczęła swą pracę od urządzania imprez rozrywkowych, które gromadząc całą wieś w świetlicy przywracały jej w ten sposób naruszoną wskutek błędnej postawy spółdzielców — jedność gromady, przynajmniej jedną jej kultural-

nego życia. Młodzi robotnicy — zetem powcy zajęli się swymi kolegami ze wsi, robotnicze — Kolem Gospody i praca społeczna inaczej zaczęła w gromadzie „grać”. Narobiono wrzawy pierwszymi gazetkami ściennymi, potem przywieziono z fabryki kilkadziesiąt książek, kilkadziesiąt ofiarował powiatowy zarząd ZSCH, część wreszcie dokupili sami chłopcy i zaraz we wsi rozpoczęła praca biblioteki, licząca ponad 200 powieści, broszur rolniczych i politycznych. Umiejętnymi rozmowami o poszczególnych książkach umiano rozbudzić w chłopach ciekawość czytania. A kto raz przeczytał taki np. „Zorany ugor” Szołochowa, ten na pewno już sięgnął po następne książki. Dyskusjami o polityce i budowlach planu 6-letniego wzmożono chęć czytania gazet i czasopism. Rychto do rąst dawniej świetlicy zaczęli ścigać tłumnie spółdzielcy i gospodarze indywidualni, starsi i młodzież na dyskusje, gry i radio. Postarano się o przyjazd etatowej kierowniczk świetlicy, która zadbała o jej estetyczny wygląd, o gazety i bibliotekę, o różne uroczystości i imprezy, o gromadzką zespół artystyczny...

Jednocześnie ekipa WSM potrafiła sobie wyrobić autorytet w innych dziedzinach życia chłopów z Okupu Wielkiego. Członkowie jej, z których niejedno początkowo wysłał więcej o okazym kupnie jakiej kury niż o właściwym celu swego przyjazdu na wieś — zasmakowali w swej pracy, zabierali coraz częściej głos na zebraniach gromadzkich organizacji partyjnej, wspomagając ją swym robotniczym doświadczeniem, stali się rozjemcami w wielu sporach między chłopami indywidualnymi a spółdzielnią. Gdy spółdzielcy nie chcieli wypożyczyć swej młocarni dawnemu formatorowi Glińskiemu, ponieważ ten w swoim czasie odmówił przystąpienia do nich — ekipa postarała się wytłumaczyć im niestwierdzone tego stanowiska i Gliński młocarnię dostał, co bardzo go zbliżyło do spółdzielców niż dawne ich namowy. Podobnych wypadków było więcej. Dzięki takiej postawie ekipy oraz — czego o tym nie wspomnieliśmy — agitati miejscowego aktywu spółdzielczego w spółdzielni znaleźli się nawet tacy jej dawni przeciwnicy jak ojciec dawnego przewodniczącego spółdzielni, Jadwiszczaka i obecny jej najjaśniejszy zwolennik a zarazem przewodniczący — Tkaczyk.

Oczywiście, decydujący wpływ na to wywarła dobra gospodarka spółdzielni w Okupie (dniówka o brachunkowa za ostatni rok wyniosła tam 30 zł). Niemniej jednak niełatwą rolę w przyspieszeniu procesu dojrzewania świadomości politycznej tamtejszych chłopów odegrała pomoc ekipy robotniczej, której członkowie umieli rozbudzić w chłopach zainteresowanie książką, gazetą i życiem świetlicowym, potrafili im uplastyczyć pojęcie socjalizmu i sojuszu robotniczo-chłopskiego.

Toteż gdy ekipa WSM została przed paru tygodniami skierowana do pracy w innej, słabszej politycznie i gospodarczo gromadzie — chłopcy z Okupu Wielkiego nie mogli się pogodzić z myślą przerwania tak serdecznych już teraz więzów. I niejedną z tych, co kiedyś boczył się na jej członków i co najwyżej pragnął jedynie, aby mu „pospiewali co druga niedzielę” — teraz biegnie za samochodem, w wożącym do Łodzi ekipę z jej ostatniej wizyty w Okupie, starając się przekrzyknąć dobrze sobie znany warok motoru:

— Nic się nie boją, kochani, że to koniec z naszą znajomością! Tak łatwo was drugim nie damy! Będziemy się o was bić w powiecie, a jak trzeba, to i do województwa trafimy!

Tadeusz Słupecki

WACŁAW PALIK

WIDZOWIE KIN WIEJSKICH

PISZE sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej z Dobrych Starej, Stefan Miarka. Określa sytuację w swojej gromadzie. Leży ona 7 km od gminy Starogard Łobeski. Rodzin 26. Powstała tam spółdzielnia produkcyjna 9 marca br., członków 18 (typ. I B.). Praca rozwija się znakomicie. Dlaczego? Na to pytanie daje odpowiedź tow. Miarka nie tylko nam, przede wszystkim sobie.

Po pierwsze — przewodniczącym jest Piotr Drozd — członek partii. A jaki to członek? „Jego strasznie wstrząsają książki. Nie ma w punkcie bibliotecznym takiej, której by nie wyczytał, także samo z filmami, całą noc by przesiadził, śpiąc bez zmruczenia powieki”.

Oto pochwała przewodniczącego spółdzielni i członka partii, jaką wydaje mu sekretarz w gromadzie. Dziwna, nie polityczna? Bardzo polityczna. Tow. Miarka nie przegapił roli filmu, jaką ten odegrał w powstawaniu spółdzielni produkcyjnej.

Ostatnim bodźcem stał się film „Dziewczęta górą”. Oglądała go jak zawsze cała gromada. Dlaczego cała?

Bo — po wtóre — dorobiła się aktywna kulturalna. Tow. Miarka z satysfakcją wylicza najlepszych czytelników. Drozd Piotr i Józef, Mariana Zawadzka, Helena Strócińska, Helena Frała. Na tej liście przodują kobiety. Ma to polityczne znaczenie niemałe.

Po trzecie bowiem „na zebranie gromadzkie każdy chętnie przychodzi”. „skoro kobiety są zagitowane i na zebraniach ludzie mogą posłuchać ciekawych rzeczy”.

Po czwarte — stałe kino znajduje się w Starogardzie, ale od dawna Dobrych wprowadziły znowy wyślania podwózków aparaty kinowe, aby oglądać w siebie filmy. Od dawna też zaobserwował tow. Miarka, że ci co „sprzysięgają” filmom — również dużo czytają. Takich można przekonać, tacy potrafią agitować, a we wspólnej pracy „widzą radość i ideę”.

Po piąte — nawet do najstarszych — nie książki — ale własnie film potrafił dotrzeć. Ponad 70 lat liczący Paweł Dobrucki zawsze przykładał na nowo seans i „strasznie mu dziwno, że on w swoich latach może jeszcze takie cuda oglądać”. Starego zagitowali, a teraz dziadek robi tak propagandę, że cała gromada na każdym filmie.

Po szóste — „w naszej wsi jest punkt biblioteczny i gazety docierają codziennie, bo mamy silnego naczelnika poczty w Starogardzie”.

X

Pisze traktorzysta POM w Bralinie (pow. Kępno), Bogdan Walerowicz. Za pióro chwycił dlatego, że kiedy oglądał film „Dziewczyna i traktor”, a było to w kwietniu, gdy zaczynały się wiosenne siewy — film, jak pisał — „nie chwycił”. Dlaczego nie miał powodzenia, kiedy jemu bardzo się podobał? „Nastawili mnie do pracy i napelnił dumą”.

Wiecej, wzmógł czujność polityczną. Pomógł na nowo i jasno uchwycił bieg walki klasowej. Walerowicz dostrzegł, że w jej wirze znalazło się kino nie tylko jako narzędzie rewolucji, ale również jako przedmiot ataku wroga. Bralin liczył 1600 mieszkańców, w tym część malarolnych i robotników, sporo średniorolnych i niemało inteligencji pracującej. „Do kina uczęszczała najczęściej ludność robotnicza i młodzież. Inteligencja rzadko, bo filmy tutaj wyświetlane jej nie odpowiadały. Czasem idzie na takie, które przypominają znane jej książki — Balzaka, Stendhala, Hugo itp. Spoza jest we wsi chłopów, którzy jeszcze nie byli w kinie ani razu. Ci, co wcale albo rzadko chodzą, nie bywają też w świetlicy, nie czytają książek, a nawet gazet, choć jest biblioteka gminna, świetlica oraz prasa dla wszystkich dostępna”.

Walerowicz widzi w tym ukrytą robotę. Kiedy w okolicznych wsiach (zarówno indywidualnych jak w spółdzielniach) oczekują na przyjazd kina, tutaj, w Bralinie, część chłopów trzyma się z dala od kina, jak od diabła. Bywało, że kiedy po domach roznoszono bilety do sprzedaży — wielu z tych, co kupili, na film nie poszło. Wróg działa, ale na krótką metę. Wywołał wśród obywateli przekonanie, że zobaczą film, to prawie tyle, co zdecydować się na spółdzielnię. Oczywiście sens. Ale to przetrzymywanie chłopów poza kinem doprowadziło w rezultacie do tego, że kiedy wreszcie wstąpiło do kina i zobaczył „Kawaleria Złotej Gwiazdy” albo „Wesoly jarmark”, wyjdą jako zwolennicy spółdzielni.

W Bralinie nie tylko trzeba wzmocnić czujność wobec wroga. W Bralinie trzeba również wzmocnić pracę kulturalno-oświatową. Scharakteryzowana przez Walerowicza

Gazetka gminna

Jak w bajce...

Nie bardzo dawno temu, wczoraj zaledwie, żył sobie chłop nazwiskiem Zięba Stanisław. Może zresztą żyje i dziś. Zięba rozwodził mleko z trzecz gromad — Temienica, Grabków i Górzyń do mleczarni w Lubsku. A trzeba wam wiedzieć, że nie było to zwykłe mleko. Miał ono tę zdumiewającą właściwość, że mogło przysporzyć ludziom z gromad wiele zaskoczeń, było to bowiem mleko specjalnie odwołane dla robotników.

Zięba czytywał po drodze rozmaite baśnie. Zapewne dlatego bardzo się przejął historią Jasia i Malgosia. Odtąd też zaczęła go dręczyć straszliwa obawa, że może gdzieś zginąć wraz z mlekiem, wozem i koniem. Dlatego to wrozie bajkowego rodzeństwa począł wszędzie zostawiać swoje ślady. Na drodze z Temienicy rozlewał po troszeczku mleko. Gromada spała wprawdzie na szary konie w dostawach dla robotników, ale za to Zięba nie zginął. Droga z Grabkowa zaczęła pokrywać się, a nawet całymi bankami. Pewno, moi mili, sprzęt się trochę zniszczył, ale za to naszego Ziębę wilki nie zjadły. Małe dzieci, zbierając po drodze blaszane naczynia wołały: Zięba dobiega, co jechali. Natomiast wóz traktor Górzyń — Lubsk można było znaleźć czasem jego garbierzy.

Wśród okolicznego ludu szerzył się już ostatnio pogłoski, że nie dlatego tak bajkowo zachowuje się Zięba, że baśnie czytuje. Stanisław — jak wieś gminna głosi — rozmiłował się w pięciu pewnego cudownego płynu, który swoją czarodziejską 95-procentową mocą zamienia Ziębę w Jasia i Malgosia równocześnie.

Jadna bajka! Byłaby może i ładna, gdyby nie to, że jest niestety prawdziwa. Ja bowiem w Lubsku byłem, po drogach Zięby chodziłem, ślady po nim zbierałem, a com widział — napisałem.

Piotr Pigwa

Historia nie do opisania

Zeby nie wiem jak do tego się zabierać, niepodobna w żaden sposób opisać pracę kół ZMP w gromadzie Grzędzkiej. Wydimy, pow. Głizko. Brak najmniejszego, jak mówią wytrawni pisarze, zahaczenia dla pióra. Jeżeli bowiem coś o tym kole wiadomo na pewno, to tyle tylko, że powstało gdzieś w 1950 roku. A dalej już nie — ciemność... „Spróbujmy dążyć do tego, ustalić, ilu członków liczy kóło. Darnym trud! Nikt bowiem z członków nie posiada legitymacji i nawet w przybliżeniu nie wie, jak wygląda.

Wprawdzie w powiecie zapewniają, że przeszedł tam kol. Borkowski Stefan, na miejscu jednak nachodzą człowieka wątpliwości, czy Borkowski naprawdę istnieje. Już nawet nie o to chodzi, że nie był ani na jednym zebraniu. Zapłać go, dokonać, czy choćby tylko okiem obejrzeć niepodobna. Siu ludzi powie ci, że tu był przysiadł, tam pił, gdzieś chłubił, ale chłopcy ani zapłać.

Wiec może zelpomocą biblioteka? Także nie do opisanja, gdyż od chwili, w której książki przeznaczone dla Grzędzkiej wyszły z powiatu — wszelki o nich zaginął ślad. Czy doszły miejsca przeznaczenia — Bóg raczy wiedzieć, a może

Racjonalizatorzy

Poruszyć energicznie głową, usprawnić pracę, oprzeć się o jakiś kolektyw przy jej wykonywaniu i można szczerze powiedzieć, że to jest właśnie to, co trzeba, aby się w życiu nie gubić.

I rzeczywiście. Wystarczy tylko spojrzeć na ręce pracowników Agencji Pocztowej w Kiszczonowie, pow. Pinców, aby się snadnie przekonać, że ani trochę nie błądzi. Co tu ukrywać — dobrał się tam ludzie jak w korcu maku — sami racjonalizatorzy.

Stanisław Grudziński — woźny, któremu ładowanie i wozenie paczek dało się porządnie we znaki — racjonalizował do gruntu technikę ich rozwożenia. Zaledwie paczki na dzituraw wóz, powóz zgubił i osłagał w ten sposób niezwykły rezultat. Zza siodnej góry walał ludzie na piechotę po przysięgi, lepiej przecież drogi nadłożyć i mieć paczkę niż czekać aż „urzędowe zaginie”.

Edward Grudziński — listonosz, znany ze spekulacyjnego umysłu — także i dlatego, że spekulacja była jego poprzednim żywiołem, wykombinował za pomocą swego sposobu kolportażu prasy. Chodzi nie tylko o to, że rozniósł prasę tylko raz na

Nie zawsze to prawda, co starzy ludzie bają. W lipnowskim powiecie można na przykład usłyszeć, że jak się w jakąś sprawę djabła albo święty niebieski wda — wygrają, choćby i najwielki przysięgły walczyć z całą gromadą. Tymczasem wcale tak być nie musi, nawet w lipnowskim powiecie. Posłuchajcie tylko.

Pracownicy niebieski w gromadzie Zarzecze, gm. Fabianki, a szkoła, świetlica i przedszkole, pód djabła nie opęta kierownictwa miejscowego PGR. Urzędnicze mole z administracji wykryły, że budownictwo, gdzie się te 3 ogniska kultury mieszczą, należy właśnie do PGR.

Wysiadła szczeniaków, założymy letnisko — podszewiwał „zły” kierownikowi. No i świetlica zlikwidowano, podobnie przedszkole, szkołę zaś odebrano na razie sąle gimnastyczną. W każdej z

I nie raczy. W każdym razie biblioteka istnieje na tej samej zasadzie co i duchy. Mówi się czasem o niej, ale zobaczycie nie można.

Natomiast świetlice można zobaczyć, ale rzadko kiedy pióro zdoła ją opisać. A jak już opisać te okna bez ram, drzwi bez zamków, oblatujące sufity, to znowu nikt nie uwierzy, że to świetlica. Przede wszystkim nie wierzą w jej istnienie zelpomocy z Grzędzkiej, a więc opisanie ich czynności od tej strony nie jest możliwe.

Jeżeli więc w Grzędzkiej takie kóło, to coż można napisać o zarządzie gminnym w Wydimach?

Borzywój Mleczarz

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROI	
Redaguje Komitet	
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12 tel. 52-50	Adres redakcji: Warszawa, ul. Starowiejska nr 7-52
Tel.: Red. Nacz. 863-86	Tel. Redakcji 87061, wewnętrzny 5, 73, 8
Warunki prenumeraty:	
mies. — 4,00 zł, kwartalnie — 13,00 zł, półrocznie — 27,00 zł, rocznie — 55,20 zł	Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmuje wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA” Warszawa Marszałkowska 3/5 4-B-14795	

STEFAN OLEJNIK

ŻONA - PRZODOWNICA

Moja żona-przodownica, a mnie trapi dola gorzka: żonka powiał się zachwycę, mnie zaś zna zaledwie wioska.

Za wysokie plony pszenne Moskwa żonę ciągle gości, Żona jeździ tam bez me... Czyż to powód do radości?

Biorę raz na chybił trafili jakiś dziennik — to tak, ona! Śmieję się do fotografii mówiąc wszystkim: moja żona!

Wszystkie chłopcy i dziewczęta do mej żony piszą listy. Pochwał człowieka nie spamięta! O mnie — ani jednej myśli.

Nieraz ze ścisłym sercem adresatom odpowiadam. Kleję znaczek na kopercie i sam list na pocztę składam.

Aż zgniewałem się nareszcie, bo naturę mam ambliową: Dajcie traktor! Ze mnie blerzcie także normy miarę szczytną!

Dziś się nami wieś zachwycę, taka sława do nas przysła: z żony znana kolchoźnica, ze mnie — głośny traktorzysta!

Przełożył

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

WACŁAW KOSOBUCKI

O POMOC PGR

W Labędziowie (23 rodziny) mamy świetlicę gromadzką, wyremontowaną przez PGR, które łączy się ze wsią i posiada drugą swoją własną świetlicę. Dwa grzyby w barszcz jak mówi przysłowie. I dobrze mówi. Bo dwa wspinały budynki, a praca w nich słaba.

Co się na taki stan rzeczy złożyło? Po pierwsze — brak artystycznych bodźców z zewnątrz. W gminie naszej nie ma żadnego zespołu artystycznego. Nie odwiedzają nas teatry ani wesole miasteczka Artosu, ani artystyczne zespoły TPD, wojska czy Roszarni Lnu. Od 1946 r. był raz Artos (4-osobowy), raz zespół z Roszarni Lnu i dwa razy — z Jednostki Wojska Polskiego. Ostatnio (na akademii 1-Majowej) wystąpił u nas zespół z gminy Golin (pow. Bartoszyce) — 15 panien i jeden harmonista. Było czego posłuchać. Nasz magazynier zakochał się w tych piosenkach, przymykał te raz i drugi bez przerwy „Zdrastuj, miłaja Marjusia!” albo „Eto było wiecierom. Dia nas zza Buga ruskie piosenki mają szczególną wymowę, Budzą w nas zagrzebaną w pracy poezję życia, jakieś dziwnie piękne nastroje. Myszą tam w okresie wojny zdobywali odznaczania w sowchozach i kolchozach. Nie odwręcił jednego od drugiego. Stowem, odczuliśmy silny bodziec, aby muzykę i śpiew rozwinąć w gminie. Mamy bowiem dużo młodzieży zorganizowanej w ZMP i SP. W PGR (Labędziowie) są możliwości w zespół artystyczny, komitet redakcyjny gazetki, komitet współzawodnictwa pracy, komitet audycji przy radiowej... Ale możliwości te nie zostały dotąd wykorzystane. PGR walczy o podniesienie wydajności, lecz bez uwzględnienia pracy kulturalnej, a przecież bez niej nie można sobie wyobrazić zwycięskiej walki o urodzaje o nowatorstwo, o nowego człowieka.

Po wtóre zatem trudności naszego życia świetlicowego tkwią w miejscu. Nasza wioska, gdzie kluje się spółdzielnia produkcyjna, powinna być rozruszana i wychowana przez PGR. A tymczasem... Wspomnę taki fakt. Jako korespondent od gazet w 1952 r. zgłosiłem się do towarzysza Słowika, dyrektora zespołu naszych PGR (17 gospodarstw). Chciałem dowiedzieć się, ile wydaje hektar nowozasianej trawy, ilu ludzi bierze udział we współzawodnictwie, jak się je promulguje, jakie zostały podjęte i jak wykonane zobowiązania.

Dyrektor oznajmił mi, że PGR-y mają swoich korespondentów, zatem wszystkim nos w nie swoje sprawy. Nie dogadaliśmy się, bośmy się nie zrozumieli. To znaczy — nie została zrozumiana moja inicjatywa.

Wprawdzie w kilka dni potem przez sekretarkę przekazał mi na piśmie suche cyfry, ale nie o taką idzie współpraca. Ja mogę mieć o niektórych szczegółach więcej niż sam dyrektor. Pracowałem 2 lata w tym PGR. Znam wszystkich ludzi, ich nastroje, dume, radości i smutki. I jako wieloletniemu aktywności we wsi szło mi o to, aby podać rękę dawnym kolegom, przedstawić ich w prasie z zewnątrz, jak są widziani, co znaczą ich osiągnięcia dla indywidualnych chłopów z gromad. Szło mi o to, aby w zestawieniu razem ukazać wieś i PGR, aby pchnąć naprzód sprawę opieki PGR-ów nad gromadami, pobudzić ambicję robotników rolnych do tych zadań.

Ja nie krytykuje dyrektora Słowika. Oceniam jego wielką pracę gospodarczą (17 gospodarstw w kluczu). Ale dlatego mam prawo wystąpić z radą, która tej pracy może użyć, a zarazem jej wyniki pomnożyć. Trzeba tylko jedno zrozumieć, że to **wspólna nasza praca**, a nie samego PGR (i w jego tylko granicach). Dyrektor Słowik czuł się moją inicjatywą zaskoczony — tego tylko brakowało, żeby i chłopcy jeszcze się „interesowali” PGR? Rzeczywiście, tego brakuje i to jest źle.

Wacław Kosobucki